ECHA LEŚNE



CZASOPISMO ILUSTROWANE

№ 8 Sierpień 1933 r. ROK X.

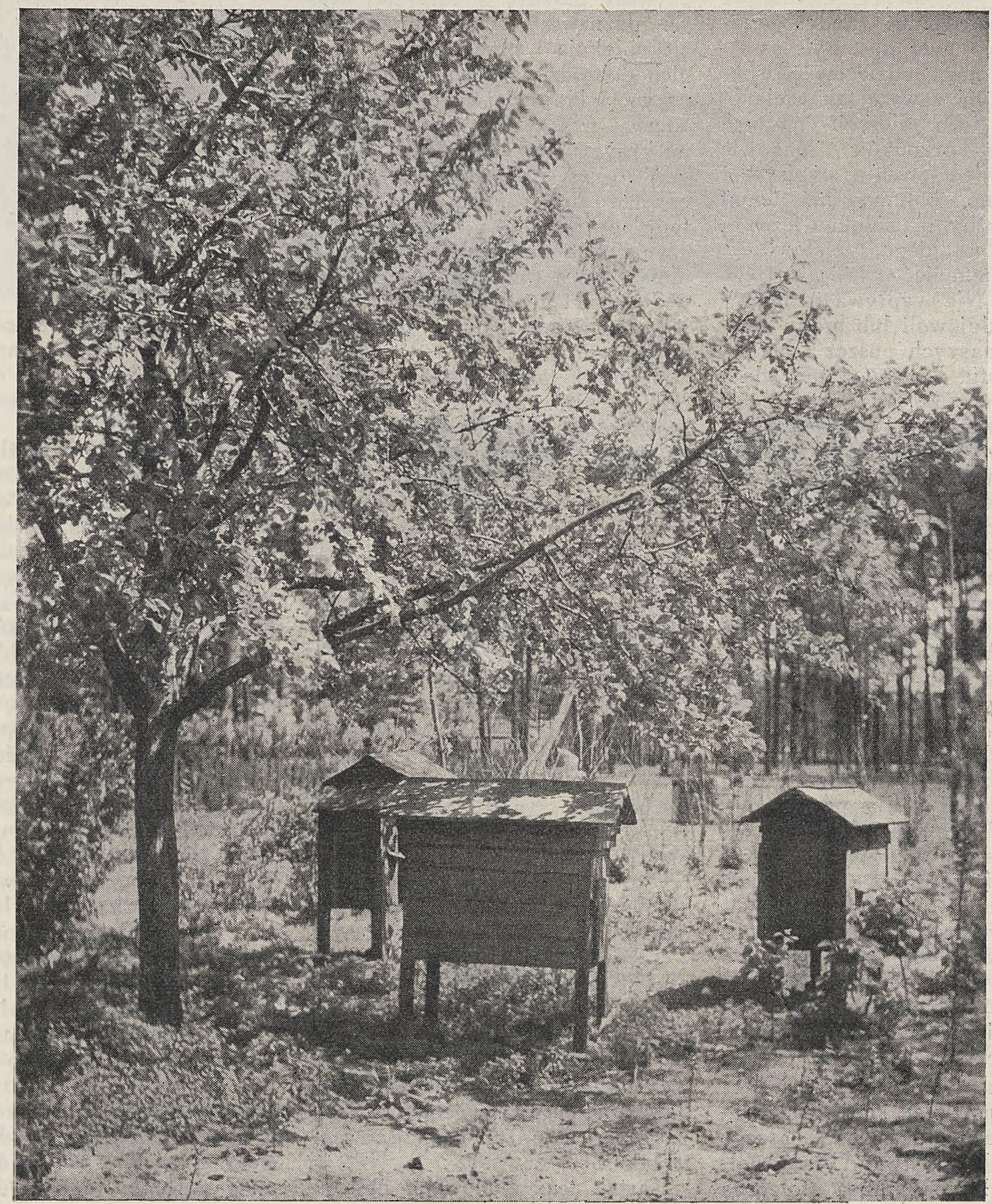
Cena 1 zł. 40 gr.

ECHA LEŚNE

CZASOPISMO ILUSTROWANE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA W WARSZAWIE, ŻORAWIA 13. TELEFON 9-44-41.

Rok X Warszawa, Sierpień 1933 r. Nr. 8



Sierpniowy dzień

W SERCU PUSZCZY AUGUSTOWSKIEJ

Prasa stołeczna w puszczy — to wydarzenie niecodziennej miary nietylko dla lasów, lecz przedewszystkiem dla samych dziennikarzy, którzy okazyj po temu mają, niestety, niewiele. A szkoda. To, co prasa wie o lasach jest tak nieprawdopodobnie mało, że tych i owych jej przedstawicieli chciałoby się miesiącami trzymać w głębi lasu, aby wreszcie zaczęli pisać o nim tak często i z taką znajomością rzeczy, jak na to ten piękny twór przyrody zasługuje. Dla wielu bowiem dziennikarzy warszawskich cała znajomość lasu kończy się nieraz jedynie na posłyszanem gdzieś kiedyś przysłowiu: „nie było nas, był las — nie będzie nas, będzie las". Uspokojeni raz na zawsze tak wiele obiecującą tezą filozofji naszych wygodnych przodków, panowie redaktorowie wolą wypisywać przeogromne kolumny na temat np. garderoby p. Ciunkiewiczowej lub kozy Gandhiego, niż słówkiem choćby wspomnieć o lesie i o jego znaczeniu. Nie wypływa to bynajmniej ze złej woli lub braku sympatji dla naszych puszcz i borów, ale poprostu ludzie ci nie zdają sobie sprawy, że las jest czemś znacznie więcej, niż łan zboża czy ziemniaków, i że sprawy związane z lasem można traktować narówni z morzem lub z obroną powietrzną państwa. Wielu z nich nie lubi poruszać tych spraw z tej prostej przyczyny, iż las i wszystkie związane z nim zagadnienia uważa za coś tak bardzo sobie obcego, fachowego i niedostępnego, że aby nie ponapisywać przypadkiem głupstw — woli wcale nie pisać. A iluż jest takich, co mimo wszystko głupstwa o lesie piszą, szkodząc lasom więcej, niż gdyby milczeli i dla propagandy leśnej byli straceni. Iluż jest takich, co nagle wszczynają alarm i biją na wielką trwogę tam, gdzie się normalnie ścina planem gospodarczym przewidziany zrąb, a milczą wówczas, gdy mało uświadomiony obywatel, a wraz z nim społeczeństwo, poniewiera las, szkodząc mu i niszcząc przy każdej sposobności.

Tymczasem każdy dziennikarz mógłby i powinien stać się propagatorem lasu i leśnictwa naszego wśród społeczeństwa. Prasa polska, a zwłaszcza prasa stołeczna może i powinna być użyta jako najpotężniejsza dźwignia owej niemowlęcej jeszcze u nas propagandy, jest to bowiem najkrótsza droga do utrzymania największej lesistości kraju. I z tego powodu jak najczęstsze wprowadzanie do prawdziwego lasu lub puszczy reprezentantów prasy jest koniecznością propagandową pierwszorzędnej wagi, a fakty urządzania przez administrację lasów państwowych wycieczek prasowych powitać należy z żywem uznaniem. Każda taka wycieczka — to coraz większe zbliżenie społeczeństwa do lasu, bo uczestnicy jej, zobaczywszy puszczę w całej jej krasie, poznawszy ludzi, którzy nią się opiekują i przekonani o mnogich dobrodziejstwach, jakie las przynosi krajowi i jego mieszkańcom — wracają do miasta dobrymi przyjaciółmi lasów.

A to jest już bardzo wiele. Im bowiem więcej takich przyjaciół, tem pewniejsze są wszelkie poczynania propagandowe, tem piękniejsze będą przyszłe „Dni leśne" w Polsce i tem więcej puszcz, kniej i borów przekażemy w spuściźnie potomnym.

Jedna z takich właśnie wycieczek — pierwsza w roku bieżącym i, jak można się spodziewać, nie ostatnia — bawiła przed miesiącem w Puszczy Augustowskiej. Na zaproszenie Dyrektora Naczelnego Lasów Państwowych p. A. Loreta, pojechali tam przedstawiciele całej niemal prasy warszawskiej — codziennej i periodycznej, a wśród nich również i reprezentant naszego pisma, spełniającego rolę łącznika pomiędzy lasem a społeczeństwem z jednej strony, a lasem i prasą z drugiej.

Pierwszem obiecującem wrażeniem na ziemi puszczańskiej było wschodzące nad Augustowem słońce, które przecząc najwyraźniej PIM-owi i zapowiedzianej na ten dzień depresji barometrycznej — wróżyło piękny, bezchmurny dzień.

To też po powitaniu wycieczki przez gospodarzy i po krótko trwającym posiłku, raźno ruszyliśmy w towarzystwie p. dyrektora lasów W. Rogińskiego, insp. Karpińskiego oraz nadleśniczych Jakubowskiego, Neugebauera i innych na zwiedzanie miejscowego tartaku.

Tartak ten, zbudowany nad jeziorem Białem, jest pięknym przykładem wysiłku administracji leśnej, położonego nad doprowadzeniem techniki przerobu drewna do najwyższej doskonałości.

Tartak augustowski wraz z innym tartakim w Płocicznie są głównemi odbiorcami drewna z puszczy, a produkcja ich przeznaczona jest prawie wyłącznie na eksport. Przerabiają one łącznie około 100.000 m³ drewna. — Przeszkoleni przez instruktorów szwedzkich robotnicy tartaku w Augustowie znakomicie opanowali pracę, wskutek czego produkcja tego tartaku jest wysoko ceniona na rynkach zagranicznych. Oba tartaki, pracując na dwie zmiany, zatrudniają dziennie około 600 robotników.

Bezpośrednio po zwiedzeniu tartaku, uczestnicy wycieczki wysłuchali bardzo zajmującego referatu p. Dyr. Rogińskiego o Puszczy Augustowskiej i jej zagospodarowaniu. O walorach krajoznawczych i turystycznych Puszczy barwnie opowiedział p. Klimaszewski, Wojewoda zaś Białostocki p. Kościałkowski zaapelował do zebranych o propagowanie Puszczy, jako wymarzonej dla ruchu turystycznego krainy lasów, rzek i jezior.

Niebawem też mogliśmy się przekonać na własne oczy, że oddalona ta od centrum Polski piękna połać kraju naszego istotnie zasługuje na większą uwagę naszej turystyki i społeczeństwa, niż to miało miejsce dotychczas.

Usadowieni mniej lub więcej wygodnie na „tutejszych" furmankach, ruszyliśmy w kierunku lasu, mając po lewej ręce malownicze jezioro Necko, po prawej nie mniej piękny widok jeziora Białego — przed sobą zaś drzewostany puszczańskie. Jadąc poprzez nadleśnictwa Szczebra i Serwy, a później płynąc kanałem Augustowskim wzdłuż nadleśnictwa Augustów, wycieczka okrążyła jakgdyby serce Puszczy, najbardziej dotknięte klęskami wojny, pożarów i żeru sówkowego. Są to najwięcej zniszczone kompleksy lasów, zwolna, ale systematycznie i pewnie powracające do zdrowia pod dobroczynną i ofiarną nieraz ręką miejscowych leśników.

Wielka stała się szkoda, że wycieczka trwała zbyt krótko, aby mogła w ciągu jednego dnia zobaczyć jeszcze i te najpiękniejsze



Jedno z przepięknych jezior, zw. „sucharem”, w lasach Augustowskich Fot. Jaroszyński.

ostępy Puszczy Augustowskiej, mające w wielu miejscach wygląd puszczy pierwotnej. Dałoby to jeszcze większą pełnię tych silnych wrażeń, jakie wszyscyśmy przeżywali obcując z Puszczą, ozdrawiającą z odniesionych szczerb, chorób i ran.

Na miejscu dzisiejszej Puszczy Augustowskiej przesuwali się ongiś lodowce, panowało tu wszechwładnie morze, szumiały nieprzerwane bory. Praca lodowców pozostawiła liczne swe ślady, którym cała Suwalszczyzna zawdzięcza piękno swego krajobrazu.

Puszcza dzisiejsza — to tylko pozostałość tych olbrzymich lasów, które od rzeki Hańczy poprzez Puszczę Knyszyńską, Białowieską, Zieloną i Białą, sięgały po Warszawę. Obecnie Puszcza Augustowska zajmuje zwarty kompleks leśny, wynoszący 116.585 ha.

Najczęściej spotykane w Puszczy drzewostany — to bory sosnowe. W miarę zmiany struktury gleby, występuje tu świerk—w domieszce i jako drzewostan czysty. Nie brak tu także drzewostanów liściastych, a przedewszystkiem olszowych, z domieszką jesionu, dębu, grabu i osiki, o bujnem podszyciu i bogatem runie leśnem.

Jakkolwiek gleba Puszczańska nie należy do najlepszych, a zatym i roślinność Puszczy Augustowskiej nie może nieraz dorównać florze innych puszcz polskich, to jednak braki te całkowicie równoważy piękno puszczańskich jezior, które w liczbie 42 rozsiane są malowniczo po całym terenie Puszczy.

Puszcza Augustowska, według słów p. Dyr. Rogińskiego, na początku wojny światowej stanowiła bardzo zasobny objekt gospodarczy.

Wybuchła atoli wojna i rozpoczął się dla Puszczy okres strasz liwej klęski. Już w pierwszych tygodniach działań wojennych Puszcza stała się terenem przemarszu wielkich mas armji rosyjskiej w wyprawie na Prusy Wschodnie, a następnie, po klęsce wśród jezior Mazurskich — terenem odwrotu i zażartych, miesiacami trwających walk pozycyjnych. Cała Puszcza została pokryta siecią linij okopów, siecią zasieków i drutów kolczastych, a nawet kanał Augustowski i większość jezior były ufortyfikowane i wykorzystane jako naturalne linje obronne.

Oprócz gradu pocisków armatnich, które spadły na całą Puszczę, nawet najwięcej oddalone i niedostępne jej mateczniki zostały zniszczone przez rozmyślne podpalenie, ażeby w ten sposób usunąć naturalną osłonę walczących oddziałów i zmusić je do odwrotu. Rosjanie w końcu ustąpili i cała Puszcza znalazła się w posiadaniu Niemców. Z chwilą tą skończyła się dla Puszczy klęska wojny, natomiast rozpoczął się okres kilka lat trwającego rabunku jeszcze więcej zabójczego, bo był to rabunek planowo pomyślany i znakomicie obliczony na całkowite pozbawienie Puszczy jej bogactw.

Niemcy, mając w pobliżu kraj własny, a więc bliską i łatwą komunikację, natychmiast zbudowali wielkie tartaki przy istniejącej linji kolejowej, a mianowicie przy stacji Sajenek, Augustów, Blizna i Płociczno o sile kilkudziesięciu traków i rozpoczęli masowy wyrąb najpiękniejszego starodrzewia przedewszystkiem wzdłuż przecinających Puszczę dróg bitych i w pobliżu jezior, ażeby w ten sposób ułatwić sobie szybką dostawę drewna, jako surowca do tartaków. Niezależnie od masowych wyrębów, prowadzili nadto Niem-

cy wyrąb plądrujący po całej Puszczy, wybierając pojedyncze, lecz najbardziej wartościowe drzewa.

Spustoszenia niemieckie trwały aż do końca wojny, a nawet wtedy, gdy w Warszawie był w roku 1919 już Rząd Polski — w Puszczy Augustowskiej jeszcze grasowali Niemcy.

Spustoszenia działań wojennych i grabieże Niemców wyniosły ogólnie 16.772 ha w formie wyrębów całkowitych, co w przeliczeniu na masę drzewną daje przeszło 4.000.000.[3] W ten sposób Niemcy pobrali z Puszczy w ciągu paru lat taką ilość drewna, która przy racjonalnem zagospodarowaniu powinna była być usunięta w ciągu 20-tu lat, co naturalnie zmusiło przy obliczaniu poborów z Puszczy odpowiednio zmniejszyć rozmiar użytkowania i spowodowało znaczne zmniejszenie dochodów na cały szereg lat.

Pozatem wojna i gospodarka okupantów, niezależnie od strat bezpośrednich, naraziły Puszczę na jeszcze jedną klęskę, a mianowicie stały się przyczyną masowego wystąpienia groźnych dla lasów szkodników owadzich. Wkrótce zaczął grasować kornik świerkowy i zniszczył doszczętnie około 300 ha, a następnie ćma leśna, t. zw. sówka choinówka, zniszczyła około 4.000 ha drzewostanów sosnowych i trzeba było aż trzech lat usilnej walki, ażeby inwazję tych szkodników zlikwidować.

To też początek organizacji polskiej gospodarki leśnej w Puszczy musiał być niezmiernie trudny i mimowoli nasuwa się pytanie skąd się wzięło tyle sił i energji ludzkiej, aby opanować gospodarczo ten wielki teren i przywrócić tu ład i porządek.

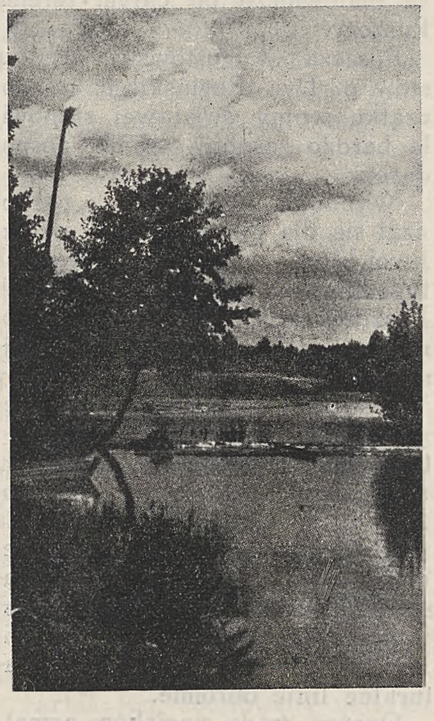
Nie mając żadnych map i planów gospodarczych, bo wszystkie zostały wywiezione przez Rosjan, leśnicy mieli przed sobą jakiś nieznany wielki obszar leśny, zawalony ściętem i niewywiezionem drewnem, posuszem i leżaniną, zniszczony ogniem i żelazem.

Potrzeba było oczyścić i uzdrowić Puszczę, dobrać i obsadzić odpowiedni personel administracyjny, powstrzymać samowolne bobrowanie w Puszczy ludności miejscowej. Z drugiej strony potrzeba było niezwłocznie wziąć udział w ogólno-państwowej akcji odbudowy Polski, a więc wydać drzewo na odbudowę kraju, dostarczyć z braku węgla opału dla miast, kolei i wojska.

I już po paru latach Puszcza Augustowska stała się znowu normalnym objektem gospodarczym. Została oczyszczona z posuszu i powału, powstały nowe osiedla dla administracji leśnej, założono sieć telefoniczną, sporządzone zostały plany gospodarcze po dokonaniu nowych pomiarów całego terenu, pobudowano kolejkę leśną, odbudowano i uruchomiono zakłady przemysłowe i przystąpiono w największej skali do zalesienia spustoszonych przestrzeni.

Ogólna powierzchnia zniszczeń wojennych i spowodowanych owadami wynosiła w całej Puszczy przeszło 22.000 ha. Z tej ilości jest już zalesionych 18.000 ha, pozostało więc do zalesienia 4.000 ha. Niezależnie od tego, wszystkie zręby, wykonane przez dyrekcję lasów są zalesione, a ponieważ roczna powierzchnia tych zrębów waha się od 500 do 750 ha, przeto przeciętna roczna ilość zalesień w Puszczy wynosi około 2.000 ha.

Dla całej Puszczy Augustowskiej zostały już opracowane szczegółowe plany gospodarcze. Wysokość kolei rębowej przyjęto dla sosny i świerka 100 lat, dla gospodarstwa w drzewostanach liściastych 80 lat. Powierzchnię użytkowania rocznego, czyli t. zw. etat, obliczono z uwzględnieniem faktycznego zapasu starodrzewia i wynosi on rocznie około 1.000 ha, co daje masy drzewnej około 260.000 m.[3] Niezależnie od powyższego przewidziane zostały dla każdego Nadleśnictwa odpowiednie użytkowania z trzebieży młodników i usuwania posuszu, czyli t. zw. użytki międzyrębne.



Jezioro Studzieniczne

Sporządzone plany gospodarcze określiły rozmiar roczny użytkowania całej Puszczy w ilości 1.005 ha z masą 267.000 m., faktycznie jednak w ciągu ostatnich siedmiu lat wykonano zrębów na powierzchni 5.259 ha, czyli roczny zrąb wynosił 751 ha z masą drewna 169.000 m.[3]

Wobec tego użytkowanie Puszczy jest bardzo oszczędne, wynosi bowiem 75% planowego rozmiaru użytkowania.

Po pierwszych paru latach polskiej administracji, w których żadnych nowych wyrębów nie stosowano, ograniczając się tylko do usunięcia z Puszczy resztek po eksploatacji niemieckiej, oraz posuszu i leżaniny i po opracowaniu prowizorycznych planów gospodarczych, przystąpiono do właściwego użytkowania Puszczy.

Przy projektowaniu rozmieszczenia w terenie rocznych wyrębów i opracowując przepisy ich wykonania — brano pod uwagę nietylko względy ekonomiczne i hodowli lasów, ale starano się, w miarę możności, nie naruszać piękna krajobrazu pierwotnej Puszczy. W tym celu unika się zakładania wielkich, łącznych zrębów, a zwłaszcza zrębów wokoło jezior. Zasada ta nie zawsze w całej rozciągłości jest możliwa do zastosowania, bo na terenie Puszczy jest jezior bardzo dużo i czasem zachodzi konieczność usunięcia drzewostanu, którego wiek, zdrowotność i stopień przydatności technicznej drewna nie pozwalają na dłuższe przetrzymywanie na pniu.

W tych wypadkach należy usunąć drzewostan nawet położony nad jeziorem. Stosuje się jednak wtedy zręby małe i natychmiast je zalesia, tak, żeby w jaknajkrótszym czasie chwilowo naruszone piękno krajobrazu było znowu odtworzone.

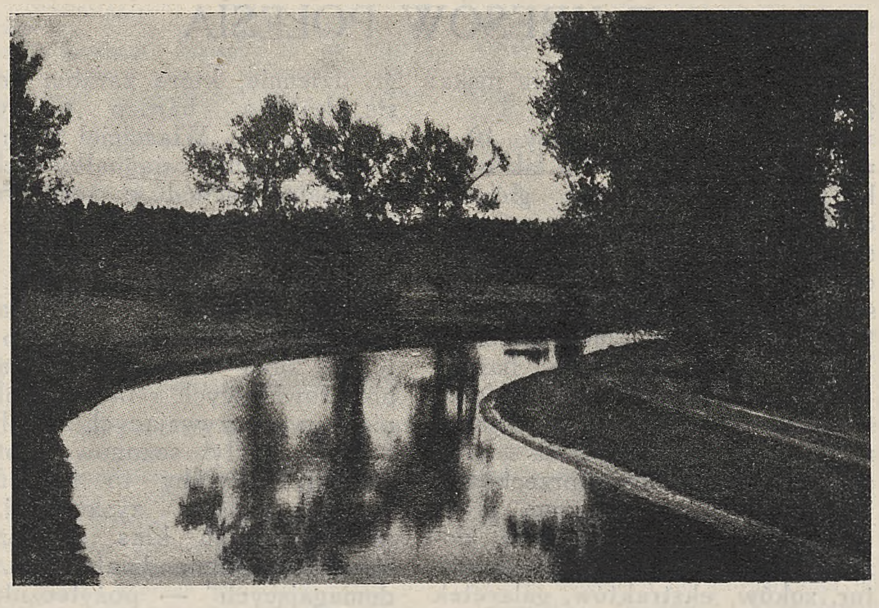
W drzewostanach sosnowych stosowane są zręby zupełne, bo w miejscowych warunkach takie zręby dają największą pewność szybkiego i udatnego zalesienia, a więc w najprędszym czasie zaciera się przykry dla oka widok wyrębu. Wszelkie inne sposoby,

np. zręby przerębowe nie mogą mieć tu miejsca, gdyż wskutek trudności odnowieniowych, właśnie wtedy tworzyłyby się wokoło jezior długotrwałe pustkowia.

Spław wyrobiony w Puszczy drzewa odbywa się w znacznej części kanałem Augustowskim, który przebiegając przez środek Puszczy na długości około 120 klm, łączy Niemen z Wisłą. W skład tej drogi wodnej, oprócz właściwego kanału wchodzi rzeka Czarna Hańcza i cały szereg jezior Augustowskich.

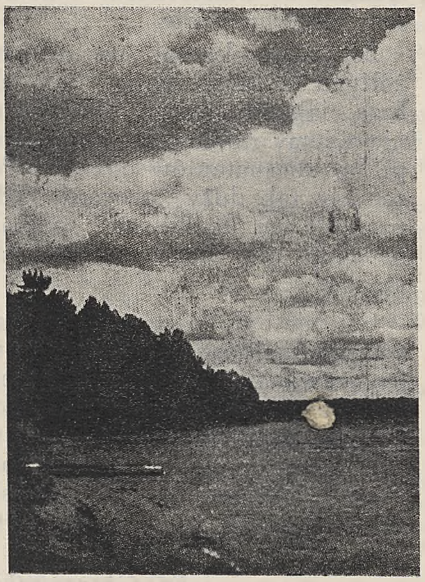
Znakomicie zaprojektowany, kanał Augustowski został wykonany w latach 1830 — 1840 przez inżynierów wojskowych Królestwa Polskiego. Punktem wyjścia dla projektu budowy kanału było jezioro Serwy, położone w środku Puszczy. Jezioro to leży na najwyższym poziomie naturalnego wodorozdziału Niemna i Wisły, wobec czego jezioro to decyduje o stanie wody w całym kanale i przy pomocy odpowiednich szluz jedno, dwu i trzykomorowych umożliwiony jest spław kanałem, bądź w kierunku Wisły i Gdańska, bądź na Niemen i Kłajpedę. Różnice poziomu wody przy szluzach wynoszą w obrębie kanału od 1½ do 10 mm.

Jeżeli chodzi o inne szlaki komunikacyjne, to Polskę przecina szlak kolejowy Grodno — Augustów — Suwałki, oraz szosa Grodno — Augustów, Augustów — Sejny, Augustów — Suwałki i Suwałki — Sejny. Niemałe znaczenie gospodarcze posiada również kolejka leśna o trakcji parowej, zbudowana już przez obecną administrację lasów, od tartaku i bocznicy szerokotorowej Płociczno wgłąb Puszczy. Długość kolejki wynosi 25 km. Pozwala ona skierować dostawy drewna do tartaku w Płocicznie z tych partji Puszczy, które nie grawitują do kanału Augustowskiego.



Fot. J. Rotsztein.

Malowniczy zakątek kanału Augustowskiego



Jezioro Białe



Wieś nad kanałem

Puszcza Augustowska jest nietylko pięknym pomnikiem przyrody, ale jest ona także wielkim objektem gospodarczym. W Puszczy uwięziony jest olbrzymi kapitał, który w postaci przyrostu drzewnego daje wieczystą rentę. W życiu wewnętrznem drzewostanów Puszczy toczy się ciągle zacięta walka o byt i w procesie wzrostu i dojrzewania drzewostanów wiele osobników słabszych ginie śmiercią naturalną. Leśnik zatem jako gospodarz lasu ma przed sobą zadanie i obowiązek nietylko miłować i chronić Puszczę, jako wspaniały twór przyrody, ale winien on także należycie obliczyć i pobierać dla państwa wyżej wspomnianą rentę, a nadto winien regulować i właściwie zużytkować te osobniki drzewne, które przyroda w biologji lasu tak rozrzutnie przeznacza na zagładę.

Tak się więc przedstawia stan rzeczy w Puszczy Augustowskiej. Jeżeli zgłębimy ten ogrom pracy i wysiłku, jakiego dokonali pracujący w Puszczy leśnicy, lecząc ją z ran i ratując przed zagładą, to dopiero wszelkie wołania w rodzaju: „ratujmy Puszczę Augustowską", jak o tem pisaliśmy w n-rze 5-ym naszego pisma, wyglądają nietyle niepoważnie, ile wprost zabawnie. *L. P.*

Z KRESÓW POLESIA

Cena żórawin na Polesiu niska: 4 — 5 groszy za kilogram.

W Warszawie żórawiny 10 i więcej razy droższe. Na tak wielką różnicę cen wpływa głównie drożyzna kolejowego przewozu, szczególnie „drobnica", czyli nie całowagonowemi ładunkami, dostępnemi tylko „dużym spekulantom z małych miasteczek..." Wielka szkoda, bo ta, tak bardzo zdrowa jagoda, zasobna (według twierdzeń fachowców) w witaminy, świetnie wytrzymująca najdalsze przewozy i łatwo przechowująca się w stanie świeżym przez cały rok — daje taką moc doskonałych przetworów: konfitur, soków, ekstraktów, galaretek o miłym, naturalnym smaku (nie perfumowanych aromatami), kisielków, lemoniad i kwasów, a nawet cukierków (żórawinki w cukrze)... i jako własna, polska jagoda nie może przecież być traktowaną jako „zbytek" narówni z winogronami lub pomarańczami. A że rośnie ona daleko, na peryferji Państwa, a nie w Saskim Ogrodzie.. to trudno.

Czyby więc władze Ministerstwa Komunikcji nie zechciały zwrócić swej światłej uwagi na sprawę ustalenia przewozu żórawin (i innych jagód leśnych), by ta, tak bardzo zdrowa, nawet dla ciężej chorych, jagoda była dostępniejszą dla najszerszych mas społeczeństwa, a zwiększona konsumcja zwiększyłaby popyt na jagody. A to zaś dałoby możność miejscowym zbieraczkom zarabiać nieco więcej, aniżeli 25 — 35 gr. dziennie, które zarabia dorosła kobieta, bardzo wprawna zbieraczka... Właściciel terenów żórawinowych osiągnąłby choć minimalny dochód z tego „runa leśnego", i to tem ważniejsze, że lasy teraz są tu prawie bez wartości, a skąd czerpać na podatki, na życie, na przetrwanie kryzysu?... Chodziłoby tylko o to, by kilka dziesiątków wagonów towarowych z liczby spokojnie „wypoczywających" całych tysięcy użyły sezonowej przejażdżki: — byłoby to im zdrowiej, dla P. K. P. zyskowniej, a dla wszystkich klas społeczeństwa, szczególnie dziatwy i „niedomagających" — pożytecznie.

A może, da Bóg, cukier potanieje więcej, nie tak homeopatycznie, bo zeszłoroczne zniżenie ceny śmiechu warte...

Że „cukier krzepi", to my i bez żółtych szyldów wiemy tak dobrze, jak że „cukier słodzi", ale nie wiemy dokładnie, kogo krzepi, bo konsumentów cukru w Polsce nie tak duży procent, gdyż produkt ten, to luksus... rarytas... specjał... nie dla wszystkich dostępny!

Czy nie byłoby celowiej zamiast żółtych szyldów chociażby o sumę wywaloną na takowe — obniżyć cenę na ogólną roczną konsumcję. Domyślamy się, kogo „cukier krzepi", ale milczymy, zapijając tę sprawę mocno niedosłodzoną herbatą z nieco za kwaśnym sokiem żórawinowym...

Fr. Chorzewski

SZTUCZNA HODOWLA GRZYBÓW

II.

W niniejszym artykule rozpatrzymy metody hodowli innych gatunków grzybów poza grzybem prawdziwym.

2. *Boletus scabre Bull.* — *grzyb koźlarz*, inaczej *kozak, podbrzeźniak, babka, podgrzybek, grzyb brzozowy, żydek, dubiel, czeszczewik*. Gatunek ten możemy hodować sposobami, wyżej opisanemi dla borowika. Tutaj jednak sama nazwa ludowa *„podbrzeźniak"* wyraźnie nam wskazuje, że grzyb ten najczęściej żyje w symbiozie z brzozą i że najlepsze rezultaty będą wówczas, gdy pod tem drzewem zastosujemy siew lub sadzenie. Wybieramy więc miejsce pod młodemi brzózkami, a glebę przed siewem wzruszamy grabiami i polewamy wodą.

3. *Boletus rufus Schaeff.* — *grzyb czerwony*, inaczej *podosinnik, podosiniak, osowiak, kozak czerwony*. Sztuczna hodowla jak wyżej, jednakże najlepsze rezultaty będą pod młodemi osikami. Potwierdza to nazwa ludowa *„podosiniak"*.

4. *Boletus luteus L.* — *grzyb maślak*, albo *maślarz, maśluk, maślacz, maślocha, ślimak, pępek*. Rośnie przeważnie tylko w lasach iglastych, najczęściej sosnowych, a więc pod sosną będą najlepsze rezultaty sztucznej hodowli. Sposoby tej ostatniej stosujemy, jak dla poprzednich trzech gatunków.

5. *Psalliota campestris L.* — *pieczarka ogrodowa*, albo inaczej *prawdziwa, inspektowa, hodowlana* lub z kupiecka *„szampion"*. Jest to jedyny gatunek grzyba, który daje zupełnie zadawalniające rezultaty przy sztucznej hodowli, znanej już człowiekowi od czasów rzymskich. Możemy ją hodować okrągły rok w najrozmaitszych warunkach zewnętrznych, a więc w parnikach, piwnicach, cieplarniach, stajniach, a nawet w specjalnie zbudowanych łóżkach, gdzie wyzyskane jest ciepło ciała ludzkiego. Ten ostatni wynalazek rozpowszechniony jest we Francji i nosi tam nazwę *„Champignons-lits"*.

Pieczarka żyje w symbiozie z najrozmaitszemi drzewami, a także z roślinami zielnemi, dlatego też spotykamy liczne odmiany tego gatunku. Pieczarka, hodowana przez człowieka, żyje w symbiozie z owsem i dlatego kultury jej zakładane są na nawozie, pochodzącym od zwierząt, karmionych owsem. Resztki nawpół przetrawionego owsa muszą być w takim nawozie, gdyż inaczej rezultat będzie ujemny, a koszta nawozu i grzybni będą stracone.

Trudno jest w krótkim artykule przedstawić dokładnie hodowlę pieczarek, to też odsyłam ciekawych czytelników do obszernej literatury tego przedmiotu. Tutaj zaś zaznaczę, tylko, jakie są najważniejsze warunki, od których zależy pomyślny rezultat. Otóż nawóz powinien być przemacerowany, lokal przewiewny i ciepły, z dostateczną ilością wilgoci w powietrzu, lokal ten należy przedezynfekować wapnem i lizolem, aby uchronić się od grzybków pasorzytniczych i innych szkodników, temperatura nie może być poniżej 14° C., wreszcie grzybnia musi być zupełnie pewną, dostarczona przez firmę, zasługującą na zaufanie. Ten ostatni warunek ważny jest z tego względu, że kultury pieczarkowe napastowane są przez liczne bardzo szkodniki, grzybki pasorzytnicze i owady. Często więc niesumienne firmy sprzedają nieświadomie lub nawet z rozmysłem grzybnię zarażoną pasorzytem i w ten sposób zgóry hodowlę naszą skazują na zagładę.

Hodowlę pieczarek najlepiej zaczynać na małą skalę, a następnie, w razie pomyślnych rezultatów, stopniowo rozszerzać. Należy również zapewnić sobie zbyt, jeżeli traktujemy to jako przedsiębiorstwo dochodowe, gdyż w przeciwnym razie możemy porobić duże wkłady pieniężne, wyhodować wielką ilość pieczarek, których nie będziemy mogli zbyć, gdyż w Polsce nie jest jeszcze pieczarka artykułem powszechnej konsumcji, jak np. we Francji.

6. *Lactaria deliciosa L.* — *mleczaj rydz*, inaczej *rydz pański* lub *smaczny*. Jest to obok borowika najbardziej u nas znany i poszukiwany gatunek, używany przedewszystkiem do solenia i do marynat. Rośnie w lasach iglastych, rzadziej mieszanych, hodować możemy tylko w warunkach naturalnych, w zagajnikach sosnowych lub świerkowych. Sposoby rozmnożenia możemy stosować, jak dla borowika. W razie pomyślnym zauważymy w ściółce leśnej, po upływie kilku tygodni od chwili wysadzenia, fioletowe niteczki nowej grzybni, a po upływie roku będziemy mieli obfite zbiory.

7. *Armillaria mellea Vahl.* — *opieńki miodowe*, inaczej *pierścianka* lub *podpieńki*. Jest to groźny pasorzyt naszych lasów ogromnie rozpowszechniony, to też ze względów ochronnych należałoby tępić ten gatunek, a tem bardziej unikać hodowli. Jednakże w pewnych wypadkach, zachowując środki ostrożności, możemy doświadczenia swoje wykonać. Hodujemy w warunkach naturalnych na żyjących drzewach lub na pniach świeżej poręby. W tym celu robimy zacięcia siekierą na odsłoniętych korzeniach drzewa i polewamy je wodą zarodnikową. Nadają się do tego przedewszystkiem pnie sosnowe i bukowe, chociaż mogą być i inne gatunki, dla których pasorzyt ten jest tak samo groźny. Zamiast wody zarodnikowej można układać kawałeczki grzy-

bni obok zacięć odsłoniętych korzeni, które następnie przykrywa się ziemią, ściółką i mchem.

W Rosji były również próby, wykonane przez A. Bałowa, hodowania opieniek w warunkach zupełnie sztucznych na miejscu otwartem, w dołach, do których wrzucano kawałki drewna, zaczynającego gnić, oplątanego niteczkami grzybni opieniek. Drewno przykrywano następnie warstwą ziemi z domieszką zgniłizny drzewnej, wrzucano tam również stare kapelusze grzybów dla rozsiania zarodników, aby rezultat był pewniejszy. Grzyby obficie owocowały w roku następnym.

Podobnie jak opieńki można hodować wszystkie inne gatunki pasorzytnicze, pamiętając o środkach ostrożności. Profesor niemiecki Busse hodował w ten sposób na świeżych pniach buka i graba gatunek mniej w Polsce popularny, tak zwany *łuskwiak zmienny*, podobny trochę do opieniek i tak samo gromadnie rosnący.

8. *Morchella esculenta L.* — *smardz jadalny*, inaczej *zwyczajny, stołowy* albo *smordz*. Jest to jeden z najcenniejszych gatunków, ukazujący się obok piestrzenicy najwcześniej na wiosnę. Hodowany był z pomyślnym rezultatem przez francuskich leśników M. Molliard'a i Ch. Rèpina w warunkach sztucznych pod lasem lub w ogrodzie, na grzędach z ziemi ogrodowej, mocno przemieszanej z nawozem i popiołem drzewnym, z dodatkiem gliny i wapna. Grządki te polewano na wiosnę woda zarodnikową i przykrywano gałązkami drzew dla ochrony przed zachwaszczeniem. Na następną wiosnę ukazały się pierwsze wyhodowane w ten sposób grzyby. Tak samo zupełnie hodowano *piestrzenicę jadalną*, czyli tak zwane *„babie uszy"*.

9. *Tuber aestivum Vitt.* — *trufla letnia*, inaczej *trufla czarna, piestrak czarny* lub *truchla*. Gatunek ten żyje w symbiozie najczęściej z dębem, bukiem i grabem. Należy do najcenniejszych naszych gatunków i traktowany jest, jako wielki przysmak. Na południu Francji hodowany jest na szeroką skalę gatunek pokrewny, tak zwana *trufla francuska* lub *perigordzka*. Hodowle truflowe prowadzone są tam w młodych kulturach dębowych, wśród których sadzone są kawałki grzybni, przytem hodowla grzybów jest głównym celem gospodarki. Zbiory możliwe są dopiero po upływie 6 — 10 lat, w ciągu których grzybnia rozrasta się.

Eksport trufli francuskich, pochodzących ze sztucznej hodowli, opanował cały niemal świat i wynosi rocznie około dwóch miljonów kilogramów. Pewna ilość trufli francuskich, wyznaczana corocznie kontyngensem, trafia również i do Polski, przytem za małą puszkę, z jedną jedyną truflą w oliwie lub słonej wodzie, płacimy w detalu 4.50 złotego.

Trudno namawiać do sztucznej hodowli trufli w Polsce, wobec tego, że gatunek ten prawie zupełnie jest u nas nieznany. Przedtem należałoby lud polski pouczyć, że trufle rosną pod powierzchnią ziemi w lasach liściastych, najczęściej dębowych, że znajdywane są węchem przez tresowane psy lub świnie, że należą do najdroższych i najbardziej poszukiwanych gatunków, że wreszcie tak zwane *„trufle polskie"*, rosnące na powierzchni ziemi, które lud nasz zjada jako trufle prawdziwe, są gatunkiem szkodliwym i trującym.

Rozpatrzyliśmy wyżej kilka sposobów sztucznej hodowli najważniejszych naszych grzybów. Sposoby te są bardzo proste i nie wymagają większego nakładu ani czasu, ani pieniędzy, mogą zaś wynagrodzić pracę człowieka, dając mu zwiększone plony cennych i poszukiwanych gatunków. To też leśnicy polscy, z natury rzeczy najbardziej związani z lasem, powinni zwrócić uwagę na ten tak bardzo zaniedbany u nas przedmiot. Ze swej strony wyrażam gorące pragnienie, aby wskazówki, zawarte w niniejszym artykule, zainteresowały Kolegów Leśników i zachęciły Ich do badań, które w rezultacie mogą mieć pewne znaczenie gospodarcze dla kraju.

Inż. leśnik Henryk Orłoś

O PIASKACH LOTNYCH

III.

Piasek lotny stanowi substancję pozbawioną wewnętrznej spoistości i dlatego łatwo rozpraszającą się na oddzielne cząstki, nie dającą przez to warunków dla wytworzenia się w niej tej symbiozy świata organicznego z nieorganicznym, której istnienie stanowi proces, charakteryzujący każdą glebę.

Znając skład chemiczny piasku i porównywując go z wynikami analizy różnych gleb, możemy dostrzec, że zdarzają się gleby, których mineralny skład ilościowo mało czem się różni od czystego piasku, a jednak przy małej, nieznacznej i nie zawsze tej samej przymieszce innych substancji, posiadają one spoistość cząstek, wytwarzając ciało mniej — więcej stałe, mające moc i zdolność istnienia w swej całości i przeciwstawiające się rozpraszającemu działaniu zewnętrznych czynników.

Stałą nieodmienną część składową piasku stanowi dwutlenek krzemu S i O_2, zwany także krzemianką, czyli kwarcem.*)

Analiza jednej z gleb piasczystych wykazuje następujący skład mineralny:

S i O_2 = 82.72%	Fe, O_3 = 1.34%
P_2O_3 = 0,09	Mn_3O_4 = 0,45
SO_3 = 0,07	CaO = 0,80
Al_2O_3 = 7,82	MgO = 0,50

K_2O = 1,43%
Na_2O = 1,12

ponadto woda i połączenia, znikające podczas manipulacji.

Analiza nieurodzajnej gleby bielicy wykazuje:

SiO_2 = 83,39%	Fe_2O_3 = 1,08%
P_2O_3 = 0,02	Mn_3O_4 = nieobecny
SO_2 = 0,01	CaO = 1,09
Al_2O_3 = 8,54	MgO = 1,02

K_2O = 1.45%
Na_2O = 2,06

ponadto pozostałości jak w poprzedniej analizie.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby prócz SiO_2 pozostałe połaczenia usunąć, powyższe gleby przeobraziłyby się w czysty piasek bez wewnętrznej spoistości składających go cząstek, nie mogący przeciwdziałać żadnym mechanicznym, rozpraszającym go czynnikom.

Nie posiadamy wzorów analizy piasków lotnych, przez co pozbawieni jesteśmy możności bezpośredniego zestawienia ich z powyższemi tablicami.

Przy rozpatrzeniu jednak tych analitycznych danych, z których korzystamy, nasuwa się pytanie, czy wśród wyszczególnionych, uzupełniających piasczystą glebę substancyj, są substancje nadające glebie, skutkiem swego składu chemicznego, tę zwartość i spoistość, którą ona w większym, lub mniejszym, chociażby w minimalnym stopniu, posiadać musi, inaczej bowiem przestałyby być glebą. Niektóre gleby spoistość tę, ujawniającą się w zdolności lepienia się, utrzymywania pewnego prymitywnego, naprzykład kulistego, kształtu, posiadają w wysokim stopniu, jak to dotykalnie możemy obserwować na czarnoziemach, posiadających wyraźną zwięzłość, pozwalającą każdą, wyjętą z głębi gruntu grudkę zakonserwować w kształcie kuli na czas dłuższy; grunta piasczyste tę samą zdolność posiadają w minimalnym stopniu, o tyle tylko, że wyjęta z głębi grudka da się utrzymać czas dłuższy na powierzchni nie rozsypując się i nie rozpraszając. Natomiast piasek lotny jest sypki i proszkowaty zawsze, i do sformowania jakiegokolwiek, chociażby krótkotrwałego kształtu, w stanie swym naturalnym nie nadaje się.

Zapytujemy więc, które ze znajdowanych w glebie połączeń chemicznych utrzymuje glebę piasczystą w stanie minimalnej spoistości, koniecznej dla zachowania charakteru gleby uprawnej i rodzącej?

Możemy na to odpowiedzieć, że żadna z substancyj wykazanych w wynikach obu przytoczonych analiz, własności takiej sama przez się glebie piasczystej nadać nie może. Jeśli powodując się pozorami, przypiszemy taką własność glinie, której obecność w obu analizach ujawnia się w postaci Al_2O_3, to przypuszczenie takie będzie w istocie swojej błędnem. Według Sławomira Miklaszewskiego (p. „Gleby Polski"), glina chemiczna, której skład oznacza się jako $H_2Al_2Si_2O + H_2O$, stanowi ciało ziemiste, sypkie, kruche.

Natomiast tenże autor wskazuje na glinę koloidalną, jako posiadającą odmienne właściwości, nadmieniając przytem, że koloidy mają własności spajające, wiążące.

Są koloidalne związki żelaza, próchnicy i wapna. Glina zaś koloidalna zawiera ciała najrozmaitsze pod postacią galaretowatą, bo koloidalność może stanowić stan właściwy dla *wszelkich ciał*.

Stanem koloidalnym ciał nazywa się rozproszenie ich cząstek pomiędzy cząstkami cieczy, w której się one nie rozpuszczają.

Prawo hydrostatyki naucza, że cząstki twarde, o gęstości większej od gęstości cieczy, powinny osiadać, jak osiada piasek w wodzie, a cząstki o gęstości mniejszej od gęstości cieczy powinny wypływać na powierzchnię cieczy. Jednak zjawisko roztworów koloidalnych jakby zaprzecza temu prawu, bo cząstki twarde nieraz całemi latami trzymają się w cieczy.

Naturalnie, że zjawisko to nie tyczy się twardych ciał w cząstkach dużych; duże bowiem cząstki nierozpuszczalne bezwględnie, ulegają prawom hydrostatyki.

Co w tych pojęciach rozumie się pod słowami „duże" i „małe", uwidoczni się z przytoczonego niżej wyniku mechanicznej analizy gleby.

Te cząstki „małe", które stanowią objekt obserwacji w stanach koloidalnych, są o tyle w rzeczywistości małe, że ścisłe obserwowanie ich stało się możli-

wem dopiero z chwilą wynalezienia i skonstruowania w roku 1903 przez Siedentopfa i Zsigmondy'ego, t. zwanego *ultramikroskopu,* co odkryło obserwatorom tych zjawisk, rzec można zupełnie nowy świat, przedtem przewidywany jedynie w fantazji teoretyków, jak Maxwell i inni. Oto, jak T. Malarski*) opisuje obraz stanu koloidalnego widzianego przez obserwatora w ultramikroskopie: „Spoglądając w ultramikroskop widzimy piękny, niezapomniany obraz ruchu mnóstwa cząstek, przypominający ruch mrówek w mrowisku. I widzi się rzecz bardzo dziwną: cząstki martwe unoszą się w łonie cieczy i poruszają się w niej jak żywe indywidua, podniecane agitacyjną działalnością.

„Często jest jeszcze obraz ten urozmaicony, iż cząstki mają różne barwy, jak to szczególnie pięknie występuje przy roztworze koloidalnym metalicznego srebra".

Zwracając się do poglądowego zobrazowania tematu, podajemy wynik mechanicznej analizy gleby piaszczystej, umieszczany w zbiorach Leśnego Instytutu w Petersburgu z r. 1911.*)

W 100 częściach suchej gleby zawiera się w %.

a) Piasek:

1) gruby od 3 — 1 m. m.	0.24
2) średni od 1 — 0,5 m. m.	13.76
3) drobny od 0,5 — 0.25 m m.	60.85

b) Pył:

1) gruby od 0,25 — 0,01 m. m. osiada z wody w ciągu 5 min.	14,21
2) średni od 0,01 — 0,005 m. m. osiada z wody w ciągu 6 godzin.	6.84
3) drobny od 0,005 — 0,0015 m. m. osiada z wody w ciągu 24 godzin.	0,28

c) Cząstki najdrobniejsze nieosiadające po 24 godz., o średnicy 0,0015, tworzące substancję galaretowatą (ił) — 2,93.

Pozycja c) tego wyciągu wykazuje za pas tej substancji, którą omawiany stan koloidalny wytwarzać może. W niej zawiera się tajemnica żywotności samej gleby. W niej również kryć się musi ta siła, która w przebiegu biologicznych przeobrażeń gleby stoi na pograniczu pomiędzy normalnym jej stanem, a stanem lotnego piasku, formującego pustynię piaszczystą.

Tylko od chwili użycia ultramikroskopu, t. j. od roku 1903-go stało się możliwem takie postanowienie kwestji, poprzednie zaś pokolenia gleboznawców tego niezmiernie ważnego zjawiska nie mogły racjonalnie objaśnić.

Powracając do wyżej przytoczonych wzorów analizy jakościowej, możemy obecnie nadmienić, że nie skład chemiczmy którejkolwiek z tworzących glebę substancyj, lecz stopień proszkowatości, w której substancje te się znajdują, przyczynia się do wytworzenia tej spoistości i zwięzłości, którą gleby posiadają. Ponieważ, jak zaznaczyliśmy, koloidalność stanowić może stan właściwy dla wszelkich ciał, więc każda z substancyj, wykazanych przez analizę jakościową, może być sprawczynią tych pożądanych włościwości gruntu. Ponadto w glebie powinny być koloidy organiczne.

Badania i ścisłe obserwacje doprowadzają badaczy do wniosku, że koloidy organiczne i mineralne we wzajemnem współdziałaniu mogą, w razie wysychania gleby, zachowywać zdolność pęcznienia i udzielania jej w stanie wilgotnym zwięzłości i kleistości, a w stanie suchym koniecznej łączności i spoistości.

Wymienione najdrobniejsze szczątki gleby zasługują na szczególną uwagę, one bowiem stanowią w glebie to środowisko, w którem formują się stany koloidalne, nadające glebom spoistość i zwięzłość; dzięki nim gleba nabiera cech zwartej substancji, w łonie której mogą rozwijać się procesy kiełkowania i życia organicznego.

Usuwanie zaś tego pierwiastka z gleby zbliża ją do substancyj ruchomych, lotnych, niespoistych, i sypkich. Zupełne zaś pozbawienie gleby tego pierwiastka przeobraża ją w substancję lotną i, o ile to jest gleba piaszczysta, przeistacza się ona przy tych warunkach w *piasek lotny.*

Przytoczony wynik mechaniczny analizy gleby piaszczystej wykazuje piasku różnych kategoryj 14,85%, pyłu 21,33%, oraz cząstek najdrobniejszych, tworzących w wodzie masę galaretowatą 2,93%. Jeśli dopuścić powstanie warunków, przy których owe 2.93% iłowatych części próby znikną z gleby, zagrożne zostanie samo jej istnienie, ponieważ wchodzące w skład gleby 74,85% czystego piasku przeobraża się w substancję bez wewnętrznej spójni, sypką, niezdolną przeciwstawić się zewnętrznym, rozpraszającym wpływom. Obecność więc w piaszczystych glebach środowisk, umożliwiających powstanie i istnienie w nich związków koloidalnych stanowi zasadniczą różnicę pomiędzy stanem *gleb piaszczystych,* a stanem *piasków lotnych.*

Powstają stąd dwie genezy piasków lotnych:

a) piasek lotny, jako pierwotna przejściowa faza wietrzenia skał, zdążająca do osiągnięcia stanu gleby.

b) piasek lotny, jako stan degradacji gleby już poprzednio zformowanej i następnie wystawionej na utratę warunków zachowania związków koloidalnych.

Niezależnie od biologicznego pochodzenia wszelkigo obszaru piasków lotnych, celem zbadania jego zdolności do przeistoczenia się w glebę, wskazane jest określenie, drogą analizy zawartości w nim tych najdrobniejszych pyłkowatych substancyj, których obecność umożliwia wytwarzanie się stanów koloidalnych i pozyskania przez to czynnika, wiążącego rozproszone cząstki gleby.

O ile w piasku dają się odkryć warunki dla wytworzenia się koloidów mineralnych, wprowdzenie doń nawozów organicznych może przeobrazić tę masę piaszczystą w glebę o dodatnich cechach, ponieważ współdziałanie tych obu rodzaj koloidów, według świadectwa K. K. Giedrojcia, stanowi ten proces, który zabezpiecza glebom najceniejsze cechy.*)

Przy zupełnej zaś nieobecności w piasku koloidów mineralnych największe ilości nawozów organicznych nie zdołają wywołać pożądanych skutków, ponieważ te ostatnie, bez związku z koloidami mineralnemi nie nadadzą gruntom pożądanych właściwości. Możemy znaleźć w naturze przykłady gruntów, obfitujących w przetwory organiczne, jednak zupełnie sypkich i jałowych, pozbawionych glejowatości i zwięzłości.

Dotknięcie kwestji o wpływie związków koloidalnych na stan gleb, wprowadzi nas w sferę rozmyślań i wniosków niezmiernie ciekawych, o wszechstronnem naukowem znaczeniu. Wskazuje nam bowiem, że tu, jak i w innych objawach bytu, należy liczyć się nietylko z czynnikami o widocznych zewnętrznych cechach i kształtach, przedewszystkiem zwracających na siebie uwagę, lecz, że pierwszorzędną rolę w zagadnieniach bytu i istnienia odgrywają czynniki niewidzialne zewnętrznie, najgłębiej ukryte, niedostępne dla zmysłów. Jak witaminy w pokarmach, tak i koloidy w glebach należą do tej właśnie kategorji czynników.

Zagłębiając się w dziedzinę analogji porównawczej, możemy wyczuć także tajemnicze czynniki i w tej żywej glebie organicznej, o różnych geologicznych nawarstwieniach, jaką wytwarza każdy naród.

I w nim muszą istnieć pierwiastki wiążące i spajające, bez których przeobraża się on w lotną, niespojoną niczem masę, dającą się rozpylić po świecie. Te więc tajemnicze, głęboko ukryte pierwiastki wiążące i spajające należy również badać, poznawać i konserwować.

Wojciech Klimaszewski

---

*) P. Zarys wiadomości z chemji W. Dominik str. 62.

*) p. „Kosmos" 1928 r. Zeszyt II.

*) p. P. Kassowicz. Część II, str. 95, wyd. 1911 r.

*) p. K. K. Giedrojć „Chemja koloidów i gleboznawstwo", drukow. w wydawnictwie rosyjskiem „Żurnał opytnoj-agronomii" 1908 r.

*) p. „Chemja koloidów i gleboznawstwo".

KURS DOKSZTAŁCAJĄCY DLA KANDYDATÓW DO EGZAMINÓW NA PODLEŚNICZYCH I LEŚNICZYCH LASÓW PRYWATNYCH

trwający 4 tygodnie w czasie od 20 września do 18 października 1933 urządza w Toruniu Pomorska Izba Rolnicza. Program kursu obejmuje w zakresie podstawowych wiadomości najważniejsze przedmioty z dziedziny leśnictwa, mianowicie: hodowlę, użytkowanie, ochronę, urządzenie, pomiar drzew i drzewostanów, botanikę, administrację, przepisy prawne, łowiectwo, pierwszą pomoc w nagłych wypadkach. Oprócz wykładów odbywać się będą ćwiczenia praktyczne i pokazy w lasach okolicznych.

Egzaminy dla kandydatów na podleśniczych i leśniczych odbędą się w roku 1934 w terminach, które podane zostaną zainteresowanym do wiadomości.

Uczestnikami mogą być leśnicy prywatni, gminni, samorządowi i t. d., którzy zgłoszą się i wpłacą do Kasy Pomorskiej Izby Rolniczej kwotę 10 zł., jako wpisowe i zaliczkę 30 zł. na koszty utrzymania, do dnia 20 sierpnia 1933. r. Reszta kosztów utrzymania, t. j. 50 zł. winna być wpłacona nie później jak 20 września 1933. Nauka na kursie jest bezpłatna; uczestnicy wpłacają 10 zł. wpisowego, które nie podlega zwrotowi. Czynione są starania o 50% zniżkę przy powrotnej drodze pociągiem.

Do zgłoszeń dołączyć należy krótki, własnoręcznie napisany życiorys i odpis świadectw z praktyki. Informacyj udziela, zgłoszenia przyjmuje *Wydział Leśnictwa Pomorskiej Izby Rolniczej w Toruniu, ul. Sienkiewicza 10.*



Moment sadzenia pierwszej lipy przez burmistrza m. Margonina (Poznańskie)



Sadzenie drzew w sławnej alei lipowej w Margoninie

ŚWIĘTO LASU W WILNIE

Pierwszy w Polsce dzień „Święta Lasu" był uroczyście obchodzony nie tylko u nas w Wilnie, ale i na terenie całej Wileńszczyzny. Wszędzie, gdzie leśnik polski mógł trafić, trafił ze słowem o lesie. W szkołach, w kółkach rolniczych, w strzelcu wygłoszone były odczyty propagandowe leśne.

Nietylko jednak słowem, ale i czynem już w dniu dzisiejszym leśnik polski rozpoczął propagować ideę zachowania lasów i miłości do nich.

Na terenie wszystkich nadleśnictw państwowych przeprowadzone było zalesianie większych i mniejszych powierzchni przez młodzież szkolną. W wielu miejscach dokonano sadzenia drzewek wzdłuż dróg i wokół szkół wiejskich. Ziarno miłości lasu zostało rzucone, oby wydało plon obfity.

Specjalnie uroczysty charakter miał obchód „Święta Lasu" w Wilnie.

W dniu 28 kwietnia b. r. w wigilję „Święta Lasu" prof. Jan Kloska wygłosił w sali Śniadeckich U. S. B. odczyt p. t. „Święta Lasu Polskiego", a następnie wyświetlił przezrocza ilustrujące piękno lasu polskiego.

Odczyt profesora Kloski został poprzedzony przemówieniem nestora leśników wileńskich p. Jana Olszewskiego.

Prelekcję prof. Kloski zaszczycił swą obecnością J. M. Rektor U. S. B. prof. dr. Opoczyński, Prezes Dyrekcji Poczt inż. Zuchowicz, Wice-Prezes Kolei inż. Mazurowski, prof. Gostkowski, Dyrektor Lasów Szemioth i inny. Sala przepełniona była po brzegi przez młodzież szkół średnich, zawodowych i powszechnych ze swymi wychowawcami na czele.

Prelegent znany i powszechnie ceniony propagator leśny, był gorąco oklaskiwany przez zebranych.

W dniu 29 kwietnia, jako w dniu właściwego „Święta Lasu", J. E. ks. Arcybiskup Romuald Jałbrzykowski, Metropolita Wileński w odświętnie przybranej Ostrej Bramie, przed cudownym Obrazem Matki Najwyższej, odprawił modły za pomyślność naszych lasów.

W pięknych do łez wzruszających słowach przemówił następnie dostojny Arcypasterz do bardzo licznej przybyłej młodzieży szkolnej, przedstawiciele władz i urzędów. Słowa jego tchnęły wielką ojcowską miłością do lasów naszych i troską o ich byt, wlewały zapał do pracy i dobro lasu i piękno przyrody.

Po odśpiewaniu Hymnu Narodowego, uszykował się olbrzymi pochód, na czele którego kroczył las sztandarów wszystkich szkół wileńskich, poprzedzany orkiestrą gimnazjum państwowego im. J. Lelewela. Za pocztami sztandarowemi kroczyli przedstawiciele władz, społeczeństwa, a następnie niezliczone szeregi młodzieży szkolnej.

Na czele szkół średnich kroczyła orkiestra gimn. O. Jezuitów, szkoły zawodowe poprzedzane były przez orkiestrę szkoły rzemieślniczej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Dziatwa szkół powszechnych niosła szereg transparentów z propagandowemi hasłami leśnemi.

Po przebyciu pochodu na miejscu sadzenia drzewek na tak zwane Piekiełko, u podnóża Góry Bouffałowej, uformował się zwarty las sztandarów i młodzieży szkolnej.

Punktualnie o godz. 12 przybył na plac Wojewoda Wileński p. Władysław Jaszczoł, powitany przez dyrektora Lasów, Starostę Grodzkiego i przedstawicieli Komitetu „Święta Lasu".

Przed rozpoczęciem sadzenia drzewek inspektor lasów inż. Leon Huszcza w pięknych słowach przemówił do zebranych, przypominając legendę o Gedyminie, księciu Litwinów, który w czasie polowania miał jakby zabłądzić i przybył na jedną z gór wileńskich. Oczarowany cudnym widokiem, jaki się z niej roztaczał, postanowił nad brzegami Wilji i Wilejki założyć gród, który nazwał Wilnem.

Dziś na górze Bouffałowej niema szumiących lasów, niema ich na wzgórzach sąsiednich, musimy jednak wspólnym wysiłkiem leśnika i społeczeństwa dążyć do podniesienia lesistości kraju, do powrotu do dawnego piękna naszego ojczystego krajobrazu.

Po przemówieniu inż. Huszczy, pierwsze drzewko przy dźwiękach fanfar posadził p. Wojewoda Jaszczołt, wypowiadając słowa: „Niech rośnie ku pożytkowi". Gromkim okrzykiem „Niech żyje" odpowiedziała p. Wojewodzie zebrana młodzież. Następnie dokonali sadzenia przedstawiciele duchowieństwa, uniwersytetu, szkolnictwa, wojskowości, miasta, urzędów, organizacyj rolniczych, harcerzy i młodzieży szkolnej.

Czternaście nowych drzewek powiększyło zadrzewienie naszego miasta.

Jeszcze chwil kilka i pan Wojewoda żegna zebranych i przy dźwiękach marsza opuszcza Górę Bouffałową.

ŚWIĘTO LASU W MARGONINIE

Dnia 29.IV. 1933 przebudził ludność miasta kresów zachodnich Margonina hejnał leśny, odegrany na czterech rogach miasta przez wychowanków szkoły dla leśniczych, oznajmiający święto wiosny — lasu i sadzenia drzew.

Dziatwa szkolna w mieście chętnie w tym dniu śpieszyła do wielkiej sali swej szkoły, gdzie zamiast nauki normalnej odbył się propagandowy wykład jednego z nauczycieli szkoły dla leśniczych na temat „Święto lasu".

Po ukończeniu tegoż, ruszyły tłumnie mieszczaństwo, ludzie z wiosek i sfery urzędnicze, dziatwa szkolna, do przepięknej, ogólnie znanej, pamiętającej dawną Polskę alei lipowej, założonej przez hr. Skórzewskich, gdzie po popularnym wykładzie dokonano symbolicznego sadzenia lip przez przedstawicieli władz, nauczycielstwo, młodzież szkolną i innych młodszych i starszych obywateli.

Koroną wszystkiego było zwiedzenie pięknego parku szkoły dla leśniczych, mieszczącego blisko 200 gatunków drzew, wśród których miejscowy fotograf nie omieszkał dokonać kilku zdjęć. Opuszczający z żalem park szkolny, uczestnicy święta, żegnani serdecznie przez leśników, przyrzekli w następnym roku stawić się jeszcze liczniej na święto lasu, co więcej, obiecali gorliwie poprzeć ich akcję, stając się odtąd najwierniejszymi przyjaciółmi lasu.

Inż. W. Śladek,

UCZCZENIE ZASŁUG Ś. P. DYR. E. LISOWSKIEGO

Pan Minister Rolnictwa i Reform Rolnych, uznając za słuszne, aby zasługi, jakie zmarły w dniu 21 maja r. b. Dyrektor lasów i kierownik wydziału organizacyjnego Nacz. Dyr. L. P. ś. p. Emil Lisowski położył przy organizacji administracji lasów państwowych, zostały uczczone w sposób trwały i przekazane pamięci przyszłych pokoleń leśników, postanowił decyzją z dnia 4 lipca r. b. nazwać szkołę dla leśniczych w Zagórzu imieniem ś. p. E. Lisowskiego.

Uroczystość nadania szkole w Zagórzu wymienionej nazwy odbędzie się w dniu otwarcia nowego roku szkolnego.

LASY i LEŚNICTWO ZAGRANICA

AMERYKAŃSKI LAMUS I POLSKI SALON

Gdyby połać lasu amerykańskiego postawić obok połaci naszego polskiego lasu, to wyglądałyby jak lamus i salon. U nas zielony, czyli las czarny zawsze wymieciony, oczyszczony, niekiedy wyzbierany do ostatniej jagódki, do najmniejszego grzybka, do złomka chróściny, a w Ameryce zawsze targon, zawały próchniejących pni, zmurszałe kłody drzewnych umarlaków zaparte na zdrowem pokoleniu, wszystko skotłowane od poszycia do wierzchołków.

U nas, w Polsce, miewamy i lasy i puszcze, w Ameryce, w Stanach Zjednoczonych każdy las jest z reguły puszczą, głuchą, zaniedbaną, niekiedy pociętą pasmami szyn, niekiedy przepasaną traktem, niekiedy wstęgą cementu, ale na zboczach zawsze i niegościnną, i zdradliwą i zawartą.

Do lasów przedziera się z nielada trudem myśliwy, wertują jego księgi wyprawy naukowe, — lecz przeciętny śmiertelnik, gdy się doń zbliża, to od skraju z siekierą, a niekiedy z całą fabryką. Tuż pod samym borem dźwignie kilka kominów, aby powalonemu drzewu bliżej było do całkowitej gilotyny, — i tnie bez miłosierdzia. Bywa, że do skraju przylgnie wóz spóźnionego o kilkadziesiąt lat pioniera, który wykołatał sobie kilkadziesiąt akrów koncesji. Karczunek nie mitręży. Jednej zapałki wystarczy, aby dokonać całopalenia choćby i olbrzymiej puszczy.

Drewna powszedniego człek amerykański sobie nie ceni. Któżto w Ameryce chciałby się troszczyć o zbieranie gałęzi, o uprzątanie drzew martwych, potrzaskanych przez burze, ktoby tam znów chciał do lasu po drzewo chodzić. Juścić na pustkowiu, na bezludziu przepastnem bywają tacy desperaci, — lecz człek cywilizowany drewna sobie nie ceni.

Gdy mu jest w gospodarstwie rolnem drewno potrzebne, to go sobie nie żałuje. Na zagrodzenie pastwiska dla krów, naprzykład, bierze długie bale klonowe, a bodaj jaworowe i układa je pod rozwartym kątem w rodzaj fryzu, niby płot z klocków. Tęgi zagajnik ledwie starczy czasami na tak osobliwe ogrodzenie. I cóż mu tam. Drewno przecież. A po drewno nie warto się schylać. A już broń Panie Boże w okolicach mieściny. Piece są do węgla, a węgle są do pieców. Chyba na rozczmychanie do uroczystego kominka. Ba, do kominka wypada, choć nie w mieście, bo w kominku leżą stale... niepalące się nigdy imitacje szczap... które nagrzewają się płomykami gazu... Więc są kominki, są brewiona, jest sentyment i niema popiołu.

Ale szczapa prawdziwa na kominku, osobliwie na jesieni, kiedy na centralne ogrzewanie zawcześnie, a boreasze podmuchują, należy do wytworności.

Jest więc wytworność.

Oto wspaniały hotel w White Sulphur Springs, na granicy Virginji i West Virginji. Zmierzch październikowy. W olbrzymiej kolumnowej sali, na dwu przeciwległych krańcach kominki... Czeluść otwarta takiego kominka sięga wzrostu rosłego człowieka... Sygnał! — Wjeżdżają dwa wózki na bezszelestnych kołach, ciągnięte przez liberję murzyńską. Na każdym wózku kłody. Dwa metry długości, a objętości conajmniej metra... Kłody wjeżdżają do kominków i zapierają się o legary z bronzu... Następnie podpalenie... Więc niezawodnie pęki chróstu, którego pełno w lasach, na wzgórzach okolicznych? Skądże chróstu? — Jesteśmy w kraju materjalnej cywilizacji. Na podpałkę idą pęczki idealnie równych, bielutkich drzażdżek, więc maszynowych patyczków symetrycznie oblepionych żywiczną kompozycją. Płomień bucha, kłodziska olbrzymy rozpalają się na żagwie. W godzinę jakaś niebotyczna sosna prycha już żałośnie iskrami po swym zwęglonym końcu. — Sosna? — Za pozwoleniem. — To zależy jaki był przepisany na ten dzień ogień. — Właśnie miał być zielony. — Więc jesion nakarmił kominki, bo jesion pali się zielono, gdyż zawiera składniki miedzi... Lecz nie ruszajmy chemji, bo było to już bardzo dawno...

Cóż bo takie drewno warte? — Tam jeno, gdzie tartaki potworne, kędy produkcja standarowa, własne okręty, kanały, wagony, kędy możność regulowania cen, dyktowania cen, kędy miljony dolarów, — inaczej dziadostwo.

Niechby pod miastem. Weźmy miasto Erie, na brzegu jeziora Erie, sto dwadzieścia tysięcy mieszkańców, na drodze między Buffalo i Cleveland, autostrady na wsze strony, łańcuchy wokół mniejszych, zamożnych miast...

Na dwudziestym kilometrze pod Erie, na wzgórku szczątek pięknego sosnowego lasu tuż właśnie przy autostradzie. Będzie tego lasu ze dwie włóki. A po drugiej stronie lasu, nad drogą równoległą



Leśniczówka leśnika-pioniera w St. Zjedn.

do autostrady, faremka polska. Kilkanaście akrów łączki, strumyczek i kury, więc standard kury, standard jaja i standard polski farmer na dorobku. Skończył wyższą szkołę, — żona wczorajsza nauczycielka, chciał on, chciała ona, pięli się, darli i skończyli na inkubatorach kurzych i czworgu ludzkiego drobiazgu. Owóż polski farmer ma zmartwienie, bo las sąsiedni tnie i przeciąga drewno na swoje obejście. Śmiechu z tego dokoła co niemiara. Na taki „monkey business" trzeba cudzoziemca, tylko Polak mógł na taki „małpi interes" wpaść... Jakiżbo interes? Dwie włóki lasu mają iść na parcele dla rezydencyjnego osiedla. Poczyniono wymiary, na każdą parcelę wyznaczono po dziesięcioro zarybku sosnowego, a pozostałość zdecydowano wygolić. Trzeba dużego grosza. Zwalić głupstwo, ale wywieźć! Budulcu ze ściętego latem drzewa nie wystruże, — a komu i do czego drewno? — Skusił się Polak na darmochę. Wyciął las i drzewo przeciągnął przez drogę... Ma tego dobrego chyba po dziś dzień, w Erie za wartość naładowania dostanie lepszych okruchów. Ale cóż polski farmer w Ameryce, wiadomo, pięć centów na godzinę i od świtu do zachodu może... „Prawdziwy" Amerykanin nie może i stąd ma drewno w poniewierce.

A lasy w Ameryce są piękne, są groźne, są ponure, wiekami omszałe, przetykane bogatym, przedziwnym kwieciem, podszyte osobliwemi krzewami, które jeno wykopywać i zakładać cuda botaniczne. Jagód mnóstwo, choć ani śladu naszej poziomki, ani słychu o naszym aromatycznym grzybie. Im dalej ku północy, im zima sroższą tam w lasach, tem większe wężowiska, niczem na Florydzie ku zwrotnikowi. Gdy przed kilkunastu laty miasto Detroit zakładało park miejski na pobliskiej wysepce na jeziorze Erie, dla wytępienia węży uciec się musiało do odsieczy, złożonej z wielkiego stada świń. Świnie osadzono na wysepce, pozostawiając je bez pożywienia. W ciągu dwuletnich sezonów wężowiska wyżarły. Wężowiskom wtórują chmury komarów i muszek. W okolicach mroźnego Winnipegu, gdzie zima zagląda już w końcu września, — gdzie lato trwa dwa miesiące razem z gorącą odrazu wiosną, — tam bez siatki w leśnym ostępie ani wyżyć, ani swobodnie odetchnąć, tam trudniej aniżeli śród bagien Florydy, a więc śród moskitów najżarłoczniejszych, bo podzwrotnikowej miary, bo dokuczliwszych, niż miljony gadów i płazów.

Lasy amerykańskie rosną, giną, zamieniają się w popieliska, w cmentarne rumowiska próchniejących pni i lasy amerykańskie gniją, toczone przez robactwo, niszczone przez pasorzytów i cięte przez ludzkich opiekunów.

Istne skarby zaklęte przepadają tam za oceanem...

U nas, — tuż w oddali, na resztówce sosenek, — chadzają w tej chwili kobieciny i upatrują, czyli szyszeczka zapomniana nie leży...

Wacław Gąsiorowski

GOSPODARKA LEŚNA I DRZEWNA SOWIETÓW

I.

W numerze kwietniowym r. b. Journal of Forestry, znany leśnik-ekonomista amerykański W. N. Sparhawe, przytacza z pracy Buchholtza*) ciekawe dane ze stosunków leśnych sowieckiej Rosji, które w przekładzie poniżej podajemy.

Autor Buchholtz, studjując leśnictwo na jednej z wyższych uczelni rosyjskich przed wojną i po wybuchu rewolucji, przez pewien czas pracował w sowieckim departamencie leśnictwa. Stwierdza on, że w chwili obecnej w Sowieckiej Rosji (Z. S. S. R.) o leśnictwie w pojęciu europejskiem, czyli leśnictwie opartem na postulatach trwałości i ciągłości użytkowania i odnowienia lasu nie może być mowy.

Racjonalna gospodarka leśna w Sowietach zaczyna się dopiero w okolicach, gdzie odczuwa się już brak rębnych drzewostanów (dojrzałych). Z powodu częstych zmian politycznych w Rosji, nie przeprowadzono zgrubsza pomiaru obszarów leśnych, tak, że faktyczna powierzchnia bogactw leśnych Sowieckiej Rosji może być tylko określona szacunkowo. Różnie jest przeto podawana przez źródła urzędowe ogólna powierzchnia leśna w Sowietach. Tak np. obszar leśny azjatyckiej Rosji jest szacowany z dokładnością do 20%.

Według ostatnich urzędowych publikacyj, powierzchnia lasów Z. S. S. R. wynosi 913.275.000 ha. Z powierzchni tej zaledwie 212.625.000 ha wyposażone jest w las handlowy (merchantable timber), z czego na europejską Rosję przypada 26 miljonów hektarów. Większość lasów na Syberji jest pochodzenia wtórnego, powstałe naturalnie na pogorzeliskach; brzozowe i osikowe drzewostany stanowią główne tło tych lasów. Pożary wyrządzają znaczne szkody w lasach syberyjskich; w jednym tylko roku 1915 spłonęło doszczętnie około 10 milj. ha., a masy drzewnej około 1 miljarda m.^{3} (35 bilj. st. sześć).

Roczny przyrost lasów sowieckiej Rosji, według szacunku sowieckiego depart. leśnictwa — wynosi w zaokrągleniu 200 milj. m.^{3} (6,8 bilj. st. sześć.). Natomiast według urzędów statystycznych, które starają się uzasadnić nadmierne wyręby leśne, dopuszczalny (possible) przyrost roczny przyjmuje się 500 milj. m.^{3} (15,2 bilj. st. sześć.).

Spożycie drewna na głowę ludności dla okolic mało lesistych, szczególnie dla okolic południa Z. S. S. R., wynosi ½ m.^{3} (18 st. sześć.), na północy zaś Rosji, z powodu słabego zaludnienia, dochodzi do 10 m.^{3} (350 st. sześć). W roku 1925 ogółem wyrąbano w lasach Z. S. S. R. około 100 milj. m.^{3} (3,7 bilj. st. sześć.), w roku zaś 1930 — 250 milj. m.^{3} (8,5 bilj. st. sześć.).

Szybkie kurczenie się obszaru leśnego w Rosji zaczyna się dopiero od 1914 roku. Za okres zgórą 100 lat, t. j. od 1804 — 1914 według statystyki obszar leśny Rosji zmniejszył się o 32 milj. hektarów.

Rosja europejska, jak wyżej zaznaczono, dysponuje bardzo szczupłym obszarem lasu handlowego — 36 milj. ha. Przy obecnem tempie wyrębów, zapas ten wyczerpany zostanie w ciągu 20 lat. W bardziej dostępnych okolicach Syberji zapas drzewostanów rębnych (las handlowy) starczyć może zaledwie na 25 — 35 lat.

Na polu odnowienia lasów, gospodarka Sowietów wykazuje poważne niedociągnięcia. Obszar, wymagający sztucznego odnowienia lasu, szacuje się obecnie na 53 milj. hektarów. Tak znaczne zaległości w zalesieniach pochodzą w dużej mierze z zaniechania na północy Rosji przerębowej gospodarki, z zastąpieniem tejże zrębową, przyczem żadne zabiegi hodowlane, nawet nad naturalnem odnowieniem drzewostanów na zrębach czystych, nie są podejmowane.

Charakterystycznem dla gospodarki leśnej w północnych rejonach leśnych Rosji jest zjawisko, że plany gospodarcze są ignorowane, zaś czynności techniczno-gospodarcze sprowadzają się głównie do pomiarów powierzchni i masy drzewnej drzewostanów, posiadających wartość handlową. Większość pomiarów powierzchni tych drzewostanów dokonywuje się za pomocą zdjęć aeroplanowych.

Departament leśnictwa przy Ministerstwie Rolnictwa usilnie zabiegał u czynników decydujących o ograniczenie wyrębów do granic przyrostu rzeczywistego lasów, jednak starania te doprowadziły tylko do gruntownej reorganizacji administracji lasów. W roku 1930 wydzielony został departament leśnictwa z kompetencji Ministra Rolnictwa i uzależniono go od specjalnie powołanej organizacji, kierującej eksploatacją lasów na całym terytorjum Sowietów. Organizację tę podporządkowano bezpośrednio Wyższej Radzie Ekonomicznej.

Inż. B. Nowacki

*) Die Wald und Holzwirschaft Sowjet-Russlands—Erwin Buchholz, Berlin 1932. Berichte über Landwirschaft Nr. 56.131 (Forest and Timber Industry of Sowiet Russia — W. N. Sparhawk).



ZIEMIA...

Polak jest przywiązany do ziemi, jest ona dlań rzeczą świętą. Kocha on ją podwójnie: jako matkę i jako dziecko. Ziemia jest matką, bo daje mu życie, karmi go, kształci jego mowę i urabia charakter, stwarzając typ odrębny, z ziemią związany. Ziemia jest dzieckiem, bo człowiek kształtuje ją, pielęgnuje, karmi własnym wysiłkiem, potem i krwią, wkłada w nią całe swe życie i miłuje ją. Czasem miłość ta jest nieświadoma, ukryta pod maską codziennych spraw, jednak kiedyś, w odpowiedniej chwili, wybuchnie, rozżarzy się i wtedy człowiek uświadamia sobie, że jest ona treścią jego duszy.

Bo ziemia — to przyroda, to prawda, to miłość. Wszystko, cokolwiek jest stworzone, zawsze ma swe źródło w miłości. Miłość unosiła się nad wodami prabytu przed stworzeniem życia i wszechświata i ona jest końcowym celem życia. Kto więc kocha ziemię, ten nosi w sobie pierwiastki owej miłości doskonałej, kto zaś odczuwa jeno tęsknotę do przestrzeni, do obszaru, a więc do zaborów, ten kieruje się błędnemi ognikami, niezdolnemi zaprowadzić na drogę wiodącą do Prawdy.

Polak miłuje swą ziemię gorąco, stale. Czy jest na pińskich błotach, porośniętych podmokłemi lasami, czy na żywych czarnoziemiach porytego jarami Podola, czy na żółtych piaskach Mazowsza, okrytych kobiercem żywicznych borów, nad modrem roztoczem Bałtyku, czy też u stóp regli tatrzańskich, wszędzie, gdziekolwiek jest, zawsze niezmiennie ją miłuje. Jest ona powiernikiem najtajniejszych jego pragnień, swą ciszą i spokojem koi jego bóle i tęsknoty, przywiązuje do siebie wspomnieniami, tradycją, omotaną srebrną pajęczyną minionych czasów. Zasłuchany w gwar lasu, w echa płynące po polach i lasach, gdy srebrny pług odcina rodną skibę, lub gdy kładą się złote pokosy, czuje on, że jest związany z tą umiłowaną ziemią niewidzialnemi korzeniami, któremi czerpie z niej swą siłę i moc twórczą. Obca stopa na jej piędzi, obce względem niej zamiary—są dla niego świętokradztwem, które gotów jest okupić swoją krwią gorącą...

Władysław Kaczyński

PUŁAWY — KAZIMIERZ

Kraj nasz posiada bardzo wiele miejscowości, które urokiem swego położenia i zabytków dają pełne zadowolenie, i zachwytem dla piękna rozjaśniają duszę każdemu, kto je ogląda. Stanowią one jakby oazy piękna, które są nie tylko fizycznym, ale i duchowym wypoczynkiem i pokrzepieniem dla licznych rzesz turystów.

Do takich miejscowości należy w środkowej części Polski w pierwszym rzędzie Kazimierz nad Wisłą, zwany Dolnym. Jego imiennik — Górny, był ongiś miastem pod Krakowem, a dziś stanowi jego dzielnicę.

Czy Kazimierz warto zwiedzić?—Bardzo warto.

Wobec tego jedziemy, tembardziej, że łatwo dostać się do niego. Kto chce, może płynąć Wisłą, ale my jedziemy koleją do Puław. Już w Puławach mamy co zwiedzać. Przedewszystkiem Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego, umieszczony w dawnym, pięknym pałacu ks. Czartoryskich, który warto zwiedzić i z wewnątrz i z zewnątrz. Za czasów rosyjskich mieściła się tu wyższa szkoła rolniczo-leśna. W malowniczym parku zobaczymy stylowe budowle — Świątynię Sybilli i Domek Gotycki, gdzie zapoczątkowane zostało słynne muzeum ks. Czartoryskich — obecnie w Krakowie. Oglądamy jeszcze ciekawy okrągły kościół opodal ładnego mostu, żegnamy Puławy i siadamy do autobusu, który nas wiezie do Kazimierza drogą, wysadzoną olbrzymiemi topolami.

Wysiadamy jednak nieco wcześniej — w Bochotnicy, idziemy szeroką i malowniczą doliną do stóp wzgórza, na którem wznoszą się romantyczne ruiny zamku. Należał on do Maćka Borkowicza, a po jego śmierci mieszkała w nim z łaski Kazimierza Wielkiego Esterka. Z tego to powodu często słychać u stóp zamku różne majufesy, wyśpiewywane przez wycieczki żydowskie, ku czci ich orędowniczki.

Po obejrzeniu tych ruin idziemy do Kazimierza, odległego o 3 klm., prześliczną drogą przez wąwozy. Podobno tę samą drogę często konno przebywał król, gdy zamieszkiwał w Kazimierzowskim zamku... Dochodzimy do Kazimierza i stajemy oczarowani. Ukazuje się miasto, położone bardzo malowniczo w dolinie, otoczone wzgórzami. Na jednem dominują ruiny królewskiego zamku na drugiem 3 krzyże z czasów morowej zarazy w 1705 r., na trzeciem — klasztor Reformatów i t. d.



Tu jednak odczuwamy po marszu, że nam i strawa zwykłych śmiertelników też potrzebna. Posilamy się przy rynku u Frankowskiego. Kapitalny typ starego polonusa, który chce zrobić ze swojego lokalu — krakowskiego Michalika. Z tradycjami — więc choć już lasu nie posiada, ale ogary hoduje.

Idziemy zwiedzać. Na zamku tworzy się nastrój i rozmyślamy. Jak to Wielki Król, rozumiejąc znaczenie własnego handlu, stworzył w środku Polski olbrzymią centralę zbożową, pobudował nad samą Wisłą spichrze i założył tam miasto, nazwane jego imieniem a przezwane wkrótce „Nowy Gdańsk". Wiele obcych miast handlowych hanzeatyckich miało tu swe kantory, nawet odległa Anglja wysyłała tu agentów. Potężna baszta panująca nad miastem wzbudza w nas podziw dla odwiecznej potęgi Polski i rozumu tych, co te wielkie dzieła stworzyli.

U stóp zamku fara. Zobaczymy tu wspaniale rzeźbione organy z 1627 r., inkrustowaną ambonę i inne ciekawości. Przy rynku, który był i jest natchnieniem dla każdego chyba z malarzy naszych, stoją 2 sławne renesansowe kamienice z XVII w. Na frontonie jednej z nich olbrzymia postać Św. Krzysztofa. Trzecia, podobna kamienica przy ul. Senatorskiej. Oglądamy jeszcze unikat swojego rodzaju — korytarzowe kryte schody, prowadzące na wzgórze klasztoru Reformatów. Idziemy dalej, za miasto już, i stajemy przed olbrzymim dębem, pod którym sądził Kazimierz Wielki, gdy jeszcze zamku nie było. Patrjarcha ten, choć sterany wiekiem, ale powiązany, poplombowany, szumi potężnemi konarami, a szumem tym, zda się dzieje zamierzchłe opowiada. Dbają też o niego.

Schodzimy uroczą ścieżką w dół. Mijamy ruiny starych spichrzów — czemu nie są one ratowane, tak jak inne zabytki tego miasta? Smutne wrażenie robią. Dochodzimy do ciekawych kamieniczołomów w Męcimierzu. Tu siadamy na łódkę (stały przewoźnik), przeprawiamy się i po krótkiej „wspinaczce" stajemy przed zamkiem w Janowcu. Założony w 1537 r. przez Firlejów z ogromnym rozmachem. Posiadał 7 sal, 98 pokoi, piękne freski. Po wojnach szwedzkich pozostały ruiny, imponujące rozmiarami. Obecny właściciel ich, p. Leon Sznyski-Kozłowski, z prawdziwem poświęceniem i ukochaniem dźwiga z gruzów ten pomnik kultury. Szkoda, że mało ma naśladowców. Z baszty jeszcze raz podziwiamy piękną okolicę i z żalem schodzimy stromemi schodkami, wzdychając, że niestety, wszystko bardzo miłe musi się prędko skończyć.

Nabraliśmy jednak nowy zapas radości, piękna, umiłowania dla kraju, — i mocno postanawiamy urządzać jaknajczęściej takie wypady w coraz to inne okolice.

Inż. W. Błotnicki

PRENUMERATĘ
WPŁACAMY ZGÓRY
NA KONTO
W P. K. O.
Nr. 5755

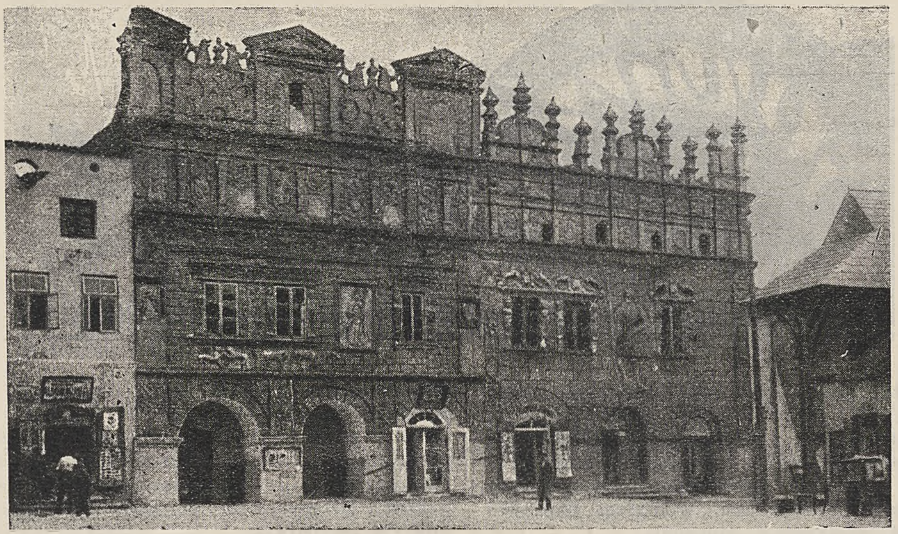
LOTY PTAKÓW PRZEZ ATLANTYK.

Ptaki dawno wyprzedziły człowieka w pokonaniu drogą powietrzną Atlantyku. A więc, stwierdzono, że niektóre ptaki amerykańskie odbywają dość często przeloty Atlantyku. Dotyczy to głównie wodnika i drozda wędrownego, spotykanych na wybrzeżach Francji, Anglji i Irlandji. Niektórzy przyrodnicy uważają przeloty ptaków za przypadkowe, dokonane przy pomocy bardzo silnych prądów powietrznych — i twierdzą, że większa liczba tych śmiałków ginie w falach morskich, bądź wskutek wycieńczenia, bądź też z powodu burz i nawałnic.

Naogół jednak ornitolodzy stwierdzają, że przeloty Atlantyku przez ptactwo nie są zbyt trudne, ponieważ wyprawy takie dzięki sprzyjającym wiatrom, lub możności odpoczynku na statkach, mogą wykonywać ptaki nawet niezbyt silne.

Celem ustalenia, czy ptaki rzeczywiście odbywają tak wielkie przeloty, zrobiono nawet szereg doświadczeń. Pierwsze doświadczenia robiono z mewami, ponieważ mogą one odpoczywać na fali. W kilku wypadkach niezdołano stwierdzić czy wszystkie doleciały, a w innym wypadku znowuż przekonano się, że dwie mewy, wypuszczone z wybrzeża szkockiego doleciały szczęśliwie na drugi kontynent wraz z założonemi pierścieniami stacji doświadczalnej.

Angielski ornitolog H. F. Witherbey notuje, że 20 i 21 grudnia 1927 r. do Nowej Fundlandji przyleciały z Europy dwie wielkie gromady czajek. Ptaka tego na nowym kontynencie przedtem w stadkach wogóle niewidziano. U jednej z czajek znaleziono pierścień nałożony w Cunberland w Anglji. Wspomniany uczony angielski stwierdza na tej podstawie, że dwie te grupy czajek przebyły w nieprzerwanym locie przestrzeń z Anglji do Nowej Fundlandji. Wskazuje przytem, że warunki atmosferyczne w czasie lotu były wyjątkowo korzystne. Krótkotrwałe mrozy, jakie nastały w tym okresie w Anglji zmusiły te ptaki do szukania pożywienia gdzieindziej. Poleciały więc na zachód i dostały się w prądy powietrzne, dzięki czemu szybkość ich lotu wzmogła się znacznie.



Piękne domy w Kazimierzu nad Wisłą, z wizerunkiem Św. Krzysztofa.

Witherbey zauważa przytem, że juz przedtem 8-krotnie widziano czajki w Ameryce, ale zawsze to były sztuki pojedyńcze.

Ponieważ czajka nie jest ptakiem amerykańskim, musiały więc przybyć z poza Atlantyku. Wynika stąd, że czajki częściej odbywają przeloty niż mewy które jednak ustawicznie fruwają nad wodą i na wodzie żerują.

A. Wiś.



Janowiec — ruiny zamku
Fot. inż. W. Błotnicki.

TRZEBA UWIERZYĆ

Czasami jakaś sieć pajęcza serce oplecie
Coś zerwie się, przeminie, odleci i skona,
Samotnie, tęskno, pusto wyda się na świecie...
Życie — zamglona, dziwna spowije zasłona.
Trzeba odejść cichutko i przesłać pożegnanie,
W stulonych dłoniach ukryć złotych wspomnień nić,
Trzeba uwierzyć mocno, że to kiedyś się stanie...
W długie, szare wieczory o tem jeno śnić.
Czas zagoi ból ostry, pajęczyną omota,
Potem młodość się prześni, potem koniec już...
Z cudnej, maleńkiej bajki pozostanie tęsknota
I wspomnienie zapachu nierozkwitłych róż.

Janina Rosnowska

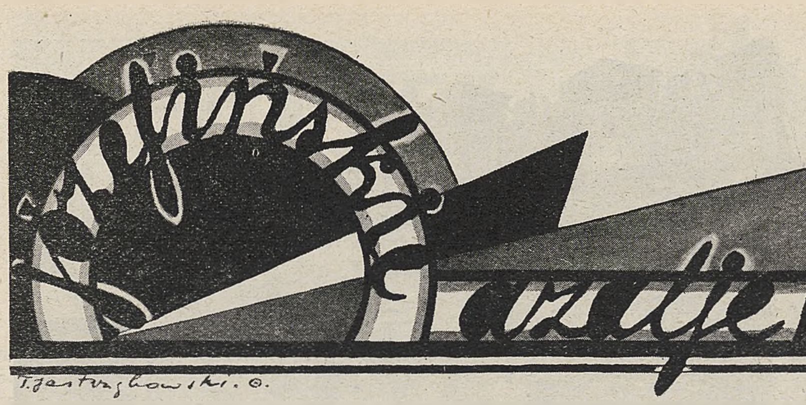
B E S K I D

Tu szeroko się dech Twój rozpostarł,
rozsnuty rosą perlistą w powietrzu młodem.
Górą,
gdzie
na mocnych, pionowych podrzutach skrzydeł
jastrząb
zaczerniał
nad ścianą skały stromej,
nad piętra wysokich jodeł,
wyżej,
zwysoka — niebo, Twoje domostwo,
ku ziemi błękitną ścianą nachyla się nisko,
Beskid bogubliski,
wszystko.
Rzadka płaskoć, gdzie w wodzie grzęzną
motyle krwawe ogniki,
a to rozprysłe upału pociski,
bose w trawie zroszonej kroki,
szumią, huczą zielono srebrnie,
rzeki, potoki,
pełnią ziemi gęsto przemieszanej z niebem
żyj, patrz, oddychaj nie dzień nie tydzień,
tak nigdzie.

Artur Rzeczyca



Ogólny widok na Kazimierz Fot. inż. W. Błotnicki.



Już na rubieży dawidgródeckiej ordynacji, na progu Polesia wołyńskiego rozciąga się uroczy ostęp józefińskiego nadleśnictwa. Dzika to puszcza leśna, wyraj ptactwa nieprzeliczonego i wilka drapieżcy siedlisko, wiankiem bagien i błot bezdennych otoczone.

Nie głuche to lasy i bory, ale tętniąca swem odrębnem życiem kraina, pełna tajemnych, ludziom nieznanych czarów, cudów i baśni. Szepczą o nich drzewa stuletnie w wieczornym rozhoworze, gra w noc miesięczną bard poleskiej puszczy, ptak królewski—głuszec, szmelcowanym pancerzem piór zdobny, bełkocą stare, ciekawe dzieje, ukryte w gęstwinie leśnej—strojne cietrzewie karmazyny, układając pióropusz lir foremnych, niby arfy eolskie, na których łagodnem tchnieniem wietrzyk tęskne melodje wyśpiewuje.

Piękną jest puszcza józefińska w dostojnej szacie jesiennej, brylantową okiścią szronu w blaskach słonecznej pozłoty grająca, królewska w puszystej bieli zimowego okrycia, tajemnicza w mgliste poranki przedwiośnia. Oczaruje ona, zadziwi i olśni, gdy cudna w swej młodzieńczej krasie, roześmiana wiosna szmaragdem zieleni listowie okryje, purpurą, złotem i opalami utka łąk i błot leśnych kobierce. Ożywi się, rozpręży, rozdygoce wtedy rozszalałem tętnem pulsującego wokół życia, wypełniającego ją po brzegi, jakby puhar drogocenny winem musującem.

Gdy wypłynie na ametystową, niezgłębioną otchłań nieba okrągły korab księżyca i lać pocznie potoki roztopionego srebra na lękliwemi mgłami otulone zagaje, gdy stapiać się poczną w tajemnicze, długie korytarze i zaczarowane zamczyska głębiny leśne, wówczas na migocących promykach miesięcznej poświaty spłynie na krainę tę niczem niezamącona cisza. I trwać będzie tak długo, aż utajony w przepastnych topielach wietrzyk wieczorny zerwie się trwożnie z miękkiego mchów i widłaków posłania, i przemykać będzie wśród stężałych kęp srebrzystych łóż. Wtedy dopiero ocknie się szary pieśniarz józefińskiej kniei i kląskać zacznie cicho, przymilnie. Ozwą się słodkie tony rzewnem zawodzeniem jakby fletni pastuszej granie, i łkać będą pieśń miłości i tęsknoty nadmiernej, aż rozbudzi się chór śpiewaków boskich, zachłyśnie, upoi, siejąc perełki melodji rzewnej, tak cudnej w swej prostocie i wdzięku, jak cudną jest niezbadana dusza puszczy.

Rychło przeminie czar upojeń wiosennych, zamilknie szara ptaszyna, a w puszczy zacznie się czas pracy wielkiej i doniosłej, poświęceń i trudów pełnej, czas troski niewymownej o wychowanie tej młodej rzeszy puszczańskiej, z miłosnych porywów wiosennych zrodzonej. Zasypiać wkrótce poczną fjoletem, szafirem i purpurą barwione, przepyszne kwiaty—wiosny posłańce, zjędrnieje soczysta zieleń pąków i listowia, szarym nalotem śniedzi pokryje się igliwie.

Lecz józefińska knieja nie pożegna smutkiem i rozpaczą skargą uchodzącą w kryształowe lodów pałace boginkę — Wiochnę. Uściele jej pod stopy najpiękniejsze swe klejnoty, co właśnie pęki jędrnemi sokami nabrzmiałe wstydliwie rozchylą, uściele jej złocisty bukiet egzotycznych kwiatów azalji. Obsypią się gęsto rozsiadłe po kniei krzewy mnogością kwiecia tak wielką, że mruży się oko nadmiarem złota znużone. Jest go moc taka nieprzebrana, iż puszcza w park najcudniejszy się zamienia, w bajeczny ogród rozkoszny, czarem najwymyślniejszych woni tchnący. A gdziekolwiek zbłądzisz po tym rajskim ogrodzie, odurzony słodkim zapachem wędrowcze, wszędy z poza pni, których objąć swemi nie zdołasz ramiony, wychylać się, będą złociste azalji kielichy, a mocna przenikliwa woń, niby haszysz upoi ci zmysły.

Zjawi się tedy przed tobą, jak leśne widmo, szary, puszczański gajowy, o pokręconych niby faun kędziorach, z nieodstępną lulką w zębach, i prawić pocznie baśń starą, przez pokolenia w tradycji zachowaną, o tym słonecznym kwiecie azalji z dalekich Chin, czy z pod śnieżnych szczytów Kaukazu zawleczonej. Słuchać będziesz szeroko otworzywszy oczy i uszy, by nie uronić ni jednego słowa tej niezwykłej i niecodziennej legendy.



Józefińskie azalje

Hej, paniczek! — nie było tu kniei złotolicych kwiatów, ni soczystych krzewów azalji. Puszcza ciągnęła się milami, bezdrożna, posępna i groźna, osłonięta grzęzawicą bez dna. Nie wtargnął tu obcy, bo drogi nie popadł, w moczarach i bagnach utonąwszy. I trwało tak wieki całe. Żył lud w kniei spokojnie, beztrosko, bo puszcza matka żywiła go chędogo, żył dostatnio, nad rzekami osady i chutory zakładając. Ni króla nie zaznał, ni podstarościch, ni władyki księcia. Wolnym był. Starym zwyczajem Kupałę święci, Dziady odprawował, popa i księdza unikając. Stare to dzieje, o których ludzie zimową porą w wieczorynki opowieści snują, od dziadów je swoich zasłyszawszy.

Lecz ponoć popsuło się kiedyś na świecie, na szerokim. Bracia z jednej matki zrodzeni pohaństwu duszę zaprzedali, na pomoc przeciw swoim ich wzywając. Nie odmówił jej srogi chan ardziński. Zwołał liczne ałusy na wyprawę, na wielką i przeciw niewiernym pociągnął. Jako morze rozsypały się zagony, a gdzie przeszły, niebo i ziemię zostawiły.

A miał on ci chan synowca jedynego „światłość swych oczu najmilszą", „jutrzenkę wschodzącą", Murachima. Ten odmiennym od innych zwyczajem życie swe pędził, w zaświaty i gwiazdy jeno spoglądając. Nie wojna mu była panią, nie bawiły go łupież ni jasyr. Ku północnym tęsknił ziemicom, skąd macierz jego — branka podobno swój ród wywodziła.

W czas onej wyprawy, czambulik wybrany prowadząc, zapuścił się Horynia jasnego brzegiem, ku Prypeci wodom. Nieświadomi bagien i błot ordyńcy często - gęsto w topiele zapadając, wielce sobie ową wyprawę sprzykrzyli. Wychynęli się nareszcie z roztopów wedle sadyb ludzkich, nad brzegiem rzeki leżących, świeżemi jeszcze tarciami krytych, gwarnych, bo zamieszkałych przez szlachtę rojną, niedawno przez Włoszkę Bonę osadzoną. Dziko połyskiwały oczy chciwym krwi i dobra wszelkiego pohańcom, na widok tak dostatniej osiedli. Więc tylko handżary i kiścienie mocniej ująwszy, na wodza młodego, jakby psy łupu wietrzące patrzali, czekając by ich spuścił ze smyczy. Ale napróżno hubki tlejące z tulejek wydobyli, napróżno noże w zębach ścisnąwszy, w sidłach się mocniej osadzili, by ze straszliwym wrzaskiem runąć co tchu w koniach i krwawy taniec rozpocząć. Murachim na widok szlacheckiego sioła jakowąś tęskność niezmierną poczuł, więc serce mocno bijące ręką przygarnąwszy, ni ruszyć się, ni też słowem odezwać się mógł. Wreszcie lubą niemoc przezwyciężywszy, ku podziwowi ogólnemu rozkaz do powrotu wykrztusił. Zapadli w mroki leśne barankowie wierni, nie mogąc wyjść ze zdumienia, jakie ich ogarnęło. Jechali tedy markotni, wielce za wodzem milczącym, czary w tem, czy gusła jakoweś dopatrując.

Żyła w on czas w osadzie owej panna Dorotka z rodu Leszkiewiczów herbu Nałęcz, aż z poza Warszawy tu przybyłych. Rozkwitła jak lilja, o licach do płatków róży podobnych, w cnocie wielkiej i miłości ogólnej chadzała. Książęcem, czy zgoła królewskiem dziecięciem snać się czuła, bo dostojność i powaga biła od niej taka, że wszyscy hołd jej powinny oddawać zwykli.

Przypadkiem dziwnym, lub może Boga samego rozkazaniem, wyszła panna Dorotka w las gęsty, jak to zwykła była czynić każde rano, w tymże właśnie czasie, kiedy Murachim widokiem sioła oczy nasyciwszy, chmurny, jak noc na czele swojej watahy powracał. Wyszedłszy na polanę dziką dziewanną zarosłą, przystanęła raptem, niezwykły tętent tabunu usłyszawszy. Nim krzyknąć zdoła, opadła ją zewsząd ćma tatarska. Widzi nad sobą rozwarte chrapy końskie, widzi zęby wyszczerzone, szatańskie oblicza pragnieniem mordu dyszące. Przestrach i niemoc ogromna opadła ją czarnem brzemieniem, i świadomość jej zgasła, jakby iskra w wodę podająca.

Porwawszy Dorotkę, umykał szybko czambuł Murachimowy ku południowi. Obawiając się jednak pogoni, rzucił się na wschód, a brodząc rzekami, wreszcie tysiącem poplątanych strumieni, dotarł do rzeki Stwigi, i już wyższym jej brzegiem posuwał się w górę, aż zwabiony urokiem józefińskiego ostępu, na dłuższy wypoczynek zapadł. Pannę Dorotkę jak oka w głowie strzegąc, strażami otoczył, namiot jej godny wystawiwszy, w którym ona łzami się gorzkiemi zalewała, o swej hańbie tylko myśląc. Lecz, że dzielną nad podziw była, wrychle wyrozumiała, że tylko Bóg lub śmierć litościwa uwolnić ją może ze sromotnej niewoli.

Kiedy więc straż mniejsze, niż zwykle dawała baczenie, ona nóż ostry z pochwy safjanowej, którą nieostrożnie Murachim porzucił niespostrzeżenie wyrwała, i nie zwlekając w sercu go swem utkwiwszy, trupem w namiocie padła.

Zawodzeniem straży zwabion, uniósł się Murachim gniewem tak srogim, że strażników niezwłocznie pościnać kazał wiankiem ich głowy u namiotu układając. A potem w boleści i żalu wielkim mogiłę wysoką usypać, polecił, ziarna azalji, które ze sobą jako amulet woził na grobie tym posadził.

Takie to opowieści snuć będzie stary leśnik radziwiłłowski, gdy tymczasem na grób nieszczęśliwej Dorotki padać będą bezszelestnie złociste płatki azalji.

Stefan Ludwik Gątarski

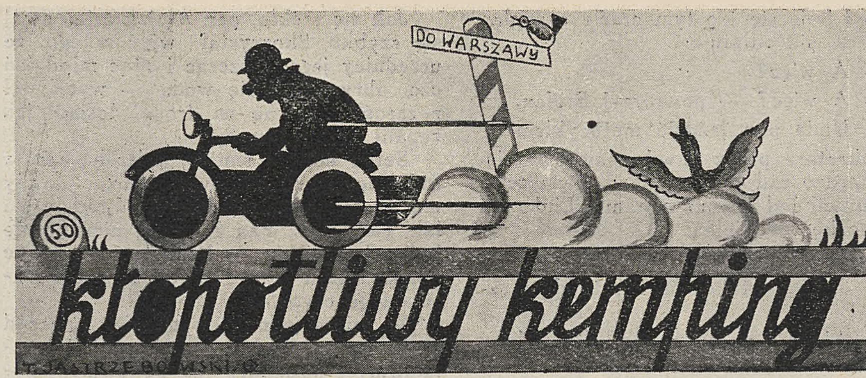
DRZEWA

Sypią się świeże liście na ciche mogiły,
na marmurach grobowców kładą się pokotem,
biednych drewniane krzyże przystrajają złotem,
wdzięczne za zaczerpnięte do rozwoju siły.

Dziwne drzewa cmentarne... w serca, które biły,
zatapiając konary, szumicie spokojem,
jakąś rzewną litością nad przebytym bojem,
nad łzami, które ziemię wokoło zrosiły...

Dziwne drzewa cmentarne, wy zagadki bytu
znając, nucicie przecież życia pieśń radosną
i chłoniecie żar słońca i ciszę błękitu,
by nad grobami wysnuć swoją baśń miłosną.
A wówczas, kiedy w szczęściu sięgacie zenitu,
korzenie wasze może... w pierś umarłych rosną.

Marja Czeska



Nikt z pracowników sportowej firmy „Alojzy Karasek i S-ka" nawet nie domyślał się, naco szef kupił motocykl.

Człowiek bowiem liczący już sobie, dyskretnie mówiąc, pięćdziesiątkę z dobrym okładem, nie zwykł oddawać się tak forsownemu sportowi. Pozatem pan Alojzy Karasek miał niespełna dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi, nogi nieco przykrótkie, a brzuszek dostatnio wykrąglony. Z takiemi akcesorjami natury osobistej niełatwo przenosić się w galopującem tempie motocykla z miejsca na miejsce.

Gdyby samochód — no tak, to zrozumiałe. Ale motocykl? Chyba tylko na spekulację.

A jednak pan Alojzy Karasek motocykl nabył naprawdę i w dodatku... z przyczepnym wózkiem. Współpracownicy, znający samotność szefa, tego zwłaszcza nie mogli zrozumieć, a co za tem idzie, nie mogli mu owej niespodzianki wybaczyć.

Pan Karasek, któremu samotność już obrzydła, wedział wszakże co robi, a z uporem manjaka ćwicząc się w jeździe na podmiejskiej szosie, niejedne już porwał spodnie i niejednego nabił sobie guza w miejscu — nietyle szanownem, ile szanującem się ze względu na ischias. Wszystko to gwoli przygotowania się do pożądanej zmiany samotnego trybu życia.

Taką miał naturę — co zamierzył— tego dokonał, chociażby nawet było spóźnione.

Gdy więc kurs jazdy motocyklowej pana Karaska miał się już ku końcowi, wezwał do swego gabinetu lekkomyślnie kokietującą go pracowniczkę, pannę Linkę, i oznajmił jej pod sekretem, że za tydzień pojedzie z nim motocyklem.

— Ja? struchlała panna.

— A cóż w tem dziwnego? Od pierwszego mianuję panią sekretarką osobistą z podwyższeniem gaży i w tym charakterze narazie będę panią stale zabierać ze sobą na inspekcję oddziałów prowincjonalnych.

— Motocyklem?!

— Oczywiście. Wszak poto go kupiłem. Kryzys. Auto obecnie zbyt drogie, komunikacja kolejowa uciążliwa i niedogodna. Zresztą należy się odmładzać i demokratyzować — to jest iść z czasem. Pozatem — uśmiechnął się uprzejmie — nie wykluczone, że w niedalekiej przyszłości uczynię pani bardziej rzeczową propozycję.

Panna Linka nacisnęła ząbkami karminowe usteczka. Nie ze wzruszenia, nie ze złości, lecz — ze śmiechu. Wreszcie oznajmiła:

— Przecież pan ma sekretarza w osobie pana Stefana...

Pan Karasek sponsowiał. Zacisnął pięści, o ile mu pozwalał na to ich tłuszcz i replikował:

— Przyznam się pani, że dosyć mam tego lekkoducha. zresztą sekretarka jakoś inaczej wygląda w poważnej firmie. Myślę też, że propozycja moja pochlebia pani?

Tu pan Karasek nadał pulchnej swej twarzy zrzadka tylko rozjaśniający ją wyraz łaskawości, a nawet, powiedzmy, życzliwości, graniczącej z kokieterją.

Jedne oko jego mrugało, podczas gdy drugie wpatrzyło się w pannę Linkę nie bez rozczulenia.

Urzędniczka o mało nie parsknęła śmiechem, wyobrażając siebie w przyczepionym wózku obok dziewięćdziesięcio kilogramowego szefa. Narazie jednak nie protestowała

Miała przecież przed sobą cały tydzień czasu, a i szef audjencję kończył, ponieważ zadzwonił telefon międzymiastowy.

Podczas kiedy pan Karasek przyjmował telefoniczne zamówienie na artykuły sportowe, panna Linka w sekrecie oznajmiała kolegom o jego propozycji.

— Zwarjował! — wybuchnął oburzeniem Stefan.

Reszta kolegów pokładała się od śmiechu, a wesołość możeby nieprędko się skończyła, gdyby nie dzwonek z gabinetu i nie wezwanie sekretarza. Stefan wzruszył ramionami i udał się na audjencję. Był pewien, że szef oznajmi mu o dymisji.

Tymczasem pan Alojzy Karasek w słowach rzeczowych acz nie pozbawionych uprzejmości powiadomił sekretarza, że będzie musiał osobiście odwieźć do Łomży zamówione przed chwilą artykuły sprotowe, których filja tamtejsza nie posiadała na składzie. Okazało się wszakże, że żądanego towaru centrala nie zdąży przygotować do godziny szóstej wieczorem, to jest do chwili odejścia ostatniego pociągu. Następne połączenie z Łomżą było dopiero o godzinie 11.30 rano. Pan Alojzy wpadł na pomysł.

— A jednak musi pan być w Łomży przed dziesiątą rano, gdyż mecz zaczyna się o pierwszej.

— Zatem... aeroplanem?

— Aeroplanem? — powtórzył zdumiony Karasek. — Czy pan się nie boi?

— I boję się i o tym czasie aeroplan niestety, nie odlatuje.

— A więc?

— A więc? — powtórzył Stefan.

— Umie pan jeździć motocyklem?

Sekretarz przez chwilę namyślał się. Nie bardzo rad był tej misji, zwłaszcza, że umówił był się już z panną Linką na wycieczkę niedzielną.

Nagle zdecydował się.

— Jako — tako. Myślę, że dam radę.

— Ale nie połamie pan? Bo byłaby szkoda.

— Sobie kości?

— Ach, co znowu! Motocykla!

— Chyba nie.

Stanęło więc na tem, że sekretarz wyruszy o świcie motocyklem.

Wczesnym rankiem Stefan dosiadł stalowego rumaka. Ale nie sam. W przyczepnym wózku obok niego siedziała panna Linka. Pojechali. Zdążyli na czas do Łomży. Załatwili sprawę, zjedli drugie śniadanie i zawrócili. Po drodze skusił ich lasek i rzeczka. Trudno było nie zatrzymać się.

Kemping. Trochę pędzania się po lesie, trochę szukania kwiatków i sporo uszczkniętych całusów.

I po chwili do wody. Kąpiel. A jakże! Kostjumy mieli na wszelki wypadek ze sobą. Dżentelmen bowiem w lecie, zwłaszcza w niedzielę, nie wyrusza za miasto bez kąpielowych majtek, podobnie jak Anglik po szóstej wieczorem nie wyrusza bez franka. Co się tyczy Linki, to Stefan uprzedził ją, żeby kąpielowy kostjum wzięła ze sobą. Kobieta bowiem nigdy nie przewiduje ewentualnych możliwości, które też nie mogą nastąpić dlatego tylko, że najczęściej jest nie przygotowana. Kto wie, może to i dobrze.

Co robił w tym czasie pan Alojzy?

A więc obudził się i miał zaraz złe przeczucia. Zadzwonił do panny Linki.

Wyjechała. Dokąd? Do Łomży.

Oczywiście!

Pociąg odchodził dopiero o 11.30.

Pan Alojzy wziął zatem taksówkę.

Do Łomży przybył już po meczu. W filji swej dowiedział się, że młoda para funkcjonarjuszów centrali warszawskiej wyjechała już o dwunastej rano z powrotem.

Pan Karasek wściekł się i w tym stanie zawrócił.

Szczęście czy nieszczęście chciało, że na dwudziestym kilometrze za Łomżą w taksówce siadł resor. Jechać dalej nie sposób. Trzeba było walić na piechotę do najbliższej stacji kolejowej. Rad nie rad pan Karasek zdecydował. I znów tym razem chyba szczęście skłoniło szefa, aby zawinął po drodze do lasku i pozwolił na mały odpoczynek krótkim swym nóżkom. Nagle uszu jego doleciały wesołe głosy — zwłaszcza uderzył go miłe śmiech kobiecy. Pan Karasek czuły był bowiem na płeć piękną. Wszedł głębiej w las. Że zaś nie był ślepy, a jako szef sportowej firmy orjentował się w mig, przeto poznał w wodzie uroczą funkcjonarjuszkę. Zatknęło go oburzenie, a byłby może szlag go trafił, gdyby czujne oczy nie spostrzegły tuż obok motocykla. Tak — rodzonego motocykla firmy „Alojzy Karasek i S-ka".

Jak się rzekło, pan Alojzy orjentował się szybko. Skorzystał więc z tego, że urzędnicy jego, piszcząc i rżąc młodzieńczo, obryzgiwali się wodą — wyciągnął z zarośli maszynę na drogę, dosiadł jej, zapalił motor i ruszył.

Serce mu się śmiało, wątroba grała radośnie, jak u stepowego konia. Jakby mu nagle spadło z karku dwadzieścia lat. Tak, tak... Pan Karasek niezmiernie był rad ze siebie, że kupił motocykl i że dzięki niemu mógł dokonać tak bohaterskiego czynu.

W miarę jednak pędzenia naprzód zgubione po drodze lata dopędzały szefa firmy i obsiadały go ponownie, podobnie jak strącone batem gzy dopędzają i obsiadają spoconą szkapę. Nogi odmawiały posłuszeństwa, bolały ręce, kark, kurz gryzł w oczy, pot zalewał twarz.

— Uf! — westchnął pan Karasek w tej właśnie chwili, kiedy nawaliła kicha.

Rad nie rad musiał się zatrzymać, aby ratować stalowego konia. Jakoż droga znów prowadziła obok rzeczki. Tu więc pan Karasek rozłożył się obozem i tu doprowadził do porządku motocykl.

Dzień był upalny, pan Karasek zmęczony, spocony, łaknął odświeżenia się. Długo się też nie namyślał. Tamci mogli zażywać kąpieli, — dlaczegóż on, szef firmy sporotowej, nie miałby również tego uczynić?

Pan Alojzy nie był już wszakże dżentelmenem w wymaganym stylu nowoczesnym.

To też kąpał się w takim stroju, w jakim przed czterdziestu siedmiu laty wyekspedjowała go dobroczynna matka na świat.

I było mu dobrze. Brzuszek pływał na płytkiej wodzie, a obrzmiałe, opatrzone odciskami stopy z uczuciem ulgi zanurzały się w żółtym, czystym piasku rzecznym.

Niema tego złego, któreby nie wyszło na dobre. Kto wie, czy jadąc na kemping z panną Linką, mógłby sobie pozwolić na taką niefrasobliwość i swobodę. Pan Karasek orzeźwił się, a wyszedłszy na brzeg — wobec braku ręcznika, postanowił obeschnąć na trawce. Słońce przypiekało dobrze — więc dla dokładności pan Karasek obracał się dookoła własnej osi, aby lepiej wyschnąć.

I nagle rozmarzony, rozprażony zasnął w półobrocie.

Tego tylko trzeba było czyhającemu nieszczęściu. Drogą obok rzeczki zdążali do stacji pozbawieni środka komunikacji funkcjonarjusze firmy „Alojzy Karasek i S-ka". Że zaś szukali konwalji, czy innych kwiatków pachnących podobnie jak młode usta, przeto spostrzegli naraz w krzaczkach znany im motocykl. Nieopodal wygrzewało się unieruchomione w bezstrosce ciało szefa

Tak, był to najwidoczniej szef. Poznali go po odwrotnej stronie medalu. Ponieważ zaś z pulchnego ciała pana Alojzego wydostawał się miarowy, błogi chrap snu, przeto Stefan, ani chwili nie zwlekając, wyciągnął maszynę na drogę.

Linka skwapliwie wsiadła do wózka.

Gazu — popędzili.

Czy się panu Alojzemu śniło, czy też słyszał trzask zapalanego motoru. Dosyć, że się porwał na równe nogi. Kiedy stanął wszakże na skraju szosy — zobaczył już tylko tumany kurzu.

Gdy Linka pod wieczór wysiadała z motocyklowego wózka, zawołała z przerażeniem:

— Stef! Wyobraź sobie, że ja siedziałam cały czas na niedzielnej garderobie szefa. Tak mi było dziwnie wygodnie... Nie rozumiałam dlaczego...

Dnia następnego szef Alojzy Karasek urzędowo, poważnie przyjmował relację z wyprawy swego sekretarza do filji łomżyńskiej.

O dymisji nie było mowy. Przeciwnie, podniósł mu pensję, mówiąc tylko tyle:

— Mam nadzieję, że wszelkie tajemnicze okoliczności rozwoju firmy zachowywać pan będzie przy sobie.

Motocykl pan Karasek sprzedał. A o nominacji panny Linki na sekretarkę, a zwłaszcza o dalszych zamiarach szefa już się nie mówiło.

M. Jarosławski

SYNKU

I znów o bajki mnie prosisz, malutki?
O białym paziu, czy złotej królewnie?
Czy mam ci zwołać wszystkie krasnoludki,
By ci piosenki swe nuciły rzewnie?
Ach, wiem już jaką lubisz bajkę, Synku.
Tę, co królewnę zła wróżka zaklęła
I sto lat całe spała przy kominku,
I miała słodkie sny, kiedy zasnęła —
Aż raz... królewicz przyjechał przecudny
Zobaczył zamek smutny i bezludny,
Więc zarył konia przed bramą srebrzystą,
I wkroczył cicho, i zadrżał boleśnie,
Widząc tę postać piękną i przeczystą,
Królewnę złotą — pogrążoną we śnie.
Więc się zapatrzył w sylwetkę uśpioną
I zastygł z ręką na piersi w rozterce.
Aż wtem... uniosła główkę rozpłonioną
Szepcąc: „zbudziło mnie!"... Wiesz Synku?... — serce,
Znów ci tę bajkę powiedzieć, malutki?
Znów ci przed oczy złudne kłaść mozajki? —
Ach, Synku! — W życiu inne krasnoludki,
Inne ci kiedyś opowiedzą bajki.
A wtedy z żalem wyciągniesz rączęta
I przeklniesz wszystkie gawędzenia złote,
Bo życie jedną tylko baśń pamięta;
Tę, co się znaczy przez ból i tęsknotę.
Więc zostaw lepiej bajki w poniewierce
Synku, i w życie idąc, uśpij serce!...

H. K.



Słoneczny lata czas... Fot. P. Olszewski.

FIGLE NA PLAŻY

Plaża morska...

Słońce praży. Przysmaża naskórek, wytapia niepotrzebny tłuszcz. Białą delikatną karnację zamienia na odcienie spiżu. Jest to pora, kiedy ludzie zmieniają skórkę, podobnie, jak zmieniali ją stale w epoce człowieka jaskiniowego, jak zmieniają ją do dziś jeszcze ludy zamieszkujące strefy tropikalne, a nie znające uroków cywilizacji. Kulturalna Europa pozwala sobie na ten luksus swobody fizycznego odświeżenia się zaledwie raz do roku. Ale też w okresie tym oddaje się beztrosce plażowania całkowicie. Tłumy zalewają wybrzeże morskie. Tu ucieka życie z rozprażonych murów miejskich i tu bawi się i figluje.

Orłowo, Gdynia, Jastrzębia Góra, Karwia, i Wielka Wieś, Jastarnia, Hel — są to główne ośrodki tej fenomenalnej kuchni przyrody, gdzie słońce gra rolę ognia, piasek — patelni, a człowiek mniej lub więcej udolnego kucharza smażącego rozbefy, kotlety i polędwice z własnego mięsa i na własną potrzebę.

Pośród wybuchów śmiechu, bieganiny i pławienia się w dobrotliwem morzu prezentują się sobie nawzajem ciała i dobre humory.

Bo i dlaczegożby nie? Czyż nie usposabia do tego przebywanie na plaży morskiej, kiedy grzeje i pieści słońce? Kiedy wygodnie układamy się w legowisko z piasku, a tuż przed oczami pręży się dorodne ciało kobiece, obryzguje się młodzież i biegają na krótkich nóżkach nagie pędraki?

Gotów jestem założyć się o to, że taki widok usposabia niefrasobliwie nawet najbardziej ponurego mruka.

Bo i jakże zachować podczas plażowania sztywne, wyfraczone dostojeństwo, kiedy właśnie jesteśmy w tym morskim salonie, bez fraka?! Gdzież tu mówić o sprawach niezwykłej wagi, (za wyjątkiem spraw sercowych) — skoro ani własny ciężko i komicznie zwisający w kąpielowym kostjumie brzuszek, ani sąsiedni trykot raz w raz zasłaniający barwną parasolką mniej lub więcej fidjaszowe kształty, ani jedna przez drugą skaczące dziewice... nie mówią o niczem innem, jak o nieskrępowanej swobodzie wypoczynku.

A swoboda taka wywołuje dobry humor. Kwaśnieć można w knajpie przy kuflu piwa, rozdymać się za biurkiem w dyrektorskim gabinecie, w zamkniętem mieszkaniu złorzeczyć wierzycielowi, który dzwoni w ciągu godziny pod drzwiami i poluje na ulicy. Na plaży trzeba się śmiać, bo na plaży wszyscy są sobie równi — nadzy. Nie — w trykotach, ale jest to mniej więcej to samo, skoro się zważy, że w trykocie niema kieszonki ani na legitymację, ani na portfel, a tembardziej na weksel.

Oto jeszcze jeden powód, dla którego plaża morska została „wymyślona" i stała się dobrodziejstwem cierpiącej na wymysły cywilizacyjne ludzkości.

Wśród rzeszy ludów posiadających plażę i my, Polacy, odgrywamy już poważną rolę. Bo kiedy przed dziesięciu jeszcze laty zaledwie kilkaset szczęśliwszych jednostek polskich, ginąc w tłumie obcych, przytulało się skromnie i niekrzykliwie na tej, lub innej plaży, aby nie zdradzić swego pochodzenia — dziś mamy szereg własnych plaż morskich, wypełnionych niemal po brzegi kilkudziesięciotysięczną rzeszą, zdążającą tu rokrocznie, by rozprężyć mięśnie i odetchnąć nieskazitelnie czystem, nasiąkniętem jodem i solą powietrzem.

Bo i gdzież lepiej, jeżeli nie na plaży odpoczywa całe ciało? Czy nie tam, gdzie nie krępuje go szata, choć może czasem powinienby krępować nieco wzrok sąsiada.

Nie żenuje wszakże, bo na niedołężne, czy gatunkowo niższe kształty nikt nie patrzy, szukając, czegoś milszego dla oka. Te zaś, świadome swej efektowności, jakże umiejętnie wyzyskują sytuację, jakże absorbują swemi wyczynami wszystkie podstarzałe słonie i krowy morskie.

Bo proszę tylko zważyć... Naprzykład taka panna Murka... o elastycznych dobrze oprawionych nóżkach rozbierze się w ciągu minuty, nie mając właściwie wiele do zdjęcia ze siebie po za pantofelkami i bransoletką z zegarkiem — przebiegnie wzdłuż plaży pod baterją lornetek i buch w objęcia bałwanów.

Trzech, czterech, pięciu, siedmiu już tańczy wokoło niej i pomaga w układaniu, wśród dekoracyjnych plam piasku i morza, parasolki i płaszcza — stanowiących tło dla wystawy ponętnych wdzięków. Bo jeżeli warunki plażowe pozwalają już, a poniekąd zmuszają do pokazania czegoś, to nie należy przesadzać ani w ostrożności, ani w wyborze tematu.

Rozpoczyna się cercle pełne beztroskiego śmiechu i rakietowych dowcipów. Treść jego właśnie stanowi beztreściwość.

To plaża.

A potem nauka pływania... Ta również zbliża...

A potem za złotego, łódeczka po fali morskiej, przepychanie się na tratwie, dosiadanie gumowych rekinów, gra w olbrzymią piłkę, gonitwy i t. d. Czyż to wszystko razem może nie działać w po-

żądanym kierunku, zwłaszcza pod opiekuńczem okiem matki, którą roztapiają na plaży słońce i radość, że wreszcie może pozbędzie się nieocenionego skarbu i... uciążliwej pociechy.

Poluje również, acz nieco oględniej, i starsze pokolenie, szukając towarzystwa, aby się na tym gorącym piasku nie zanudzić z bezczynności i braku kłopotów swoich i... obcych.

Oto układają się obok siebie niby foki, dwie serdeczne przyjaciółki. Dzieci wysłały pod opiekę freblanki nieco dalej, aby mieć więcej swobody.

Obie zdają się na kogoś czekać. Wreszcie jedna z nich zaczyna:

— Wiesz, proponował mi przejażdżkę na Hel... i był bardzo, bardzo...

— No i cóż ty na to?

— Et, cóż znowu... Przecież go nie znam... Odmówiłam... No, bo nie rozstaję się z tą swoją małpką.

— Na plaży, to chyba nie szkodzi.

Wzruszenie ramion bez znaczenia. Cisza. Oczekiwanie. Wypatrywanie. Nagle: ożywienie.

— Idzie! Idzie... Ciekawa jestem, czy podejdzie...

Tymczasem pan z małpką mija przyjaciółki. Ledwie się ukłonił. Podchodzi natomiast do takiej jednej, która zrzuciła ramiączko z pleców i daje mu nóżką znak, żeby siadł obok. Siada i bawią się... niby małpką, choć widać, że chodzi o co innego. Ale otoczenie nie pozwala na intymności... Małpka przyciąga uwagę ,więc szukają już łódki, żeby spóbować... jak się nawigacja będzie podobać makakowi.

— No widzisz, coś podobnego! Już go wzięła! Ta poleci z nim na Hel, choćby w łódeczce.

— Szkoda, żeś nie skorzystała. Pomyślał, że nic i szuka dalej.

— Nie to... Zobaczył, że nie jestem sama.

Oburzenie.

— Otóż wiedz, że wczoraj proponował mi to samo, alem go wyśmiała.

Po tej przyjacielskiej gawędzie obie damy ułożyły się w pozycji, która przypominała dawnego orła rosyjskiego. Zresztą nie obchodzi to nikogo na plaży, a przedewszystkiem pana z małpką i nową jego znajomą, może bardziej czułą na propozycję, a może pierwszą, której istotnie przejażdżkę na Hel zaproponował.

Wprawdzie nieporozumienia takie nie trwają długo, bo na plaży więcej jest okazji do porozumień, niż do scysji. Zaledwie bowiem damy się ułożyły, a już musiały się zerwać, aby obejrzeć hydroplan lądujący pośrodku rzeszy plażowiczów ku niezmiernej radości dziatwy, budującej zamki i forteczki z piasku, oraz najdrobniejszych pędraków, które dopiero matki muszą oswajać, z tym niezwykłym widokiem.

Starsze nieco dzieci orjentują się już lepiej, bo taki Staszek odrazu występuje z rzeczowem pytaniem wobec tykowatego ojca, wydeptującego piętą dołek w piasku, aby tam pogrzebać opałek papierosa.

— Tatusiu! A gdzie ten hydroplan znosi jajka?

— Jak? — zakłopotał się ojciec, zdumiony uświadomieniem bjologicznem swojej latorośli. — Dlaczego aeroplan ma znosić jajka?

— Przecież to ptak, bo fruwa... Więc gdzie znosi te jaja? — ryknął Staszek i tak się uparł, że ojciec rad nie rad musiał mu wskazać pierwsze lepsze miejsce, gdzie mógłby tych hydroplanowych jaj szukać.

— Ale musisz kopać głęboko, bardzo głęboko — poucza synka. I chłopiec kopie. Jakże łatwo i pedagogicznie można zaspokoić natarczywość dzieci i znaleźć dla siebie potrzebną chwilę spokoju. Właśnie spogląda ku ponętnemu wdowcowi efektowna rozwódka. Kto wie, może razem pójdą się kąpać? A z kąpieli powoli zajdą do ołtarza... Nowa mamusia zapewne lepiej potrafi wytłumaczyć synkowi istotę hydroplanu. Ojciec spogląda na zajęte kopaniem dziecko, porzuca gazetę i bez namysłu idzie na spotkanie wyzywającego go losu. Wogóle polityka, kłopoty służbowe, obowiązki rodzinne — odpływają gdzieś daleko, daleko...

Tam w głębi lądu dzwonią i krzyczą rozprażone i zakurzone miasta. Tu na plaży słońce daje ze wszystkich grzechów rozgrzeszenie i cichym szmerem kołysze do marzeń niekończący się ruch morski i wieczne piękno kobiecego ciała.

Życie ludzkie ma i dobre swe strony. Zwłaszcza te, które zbliżają człowieka do natury i pozwalają mu zapomnieć o przepisach krępującej cywilizacji.

M. J.

COŚ DLA PAŃ

KILKA SŁÓW O MODZIE

Więc jednak wbrew naszym obawom mamy w bieżącym sezonie materjały tanie. Te bawełniane oczywiście, które są właśnie najmodniejsze. I to przez cały dzień, bez wyjątku. Na suknie sportowe, plażowe, biurowe, a nawet i wieczorowe. Wybór tych tkanin mamy ogromny, a ceny są najzupełniej przystępne.

To znaczy zgniecione misternie, lub odpowiednio tkane flamisole z bawełny, bardzo na pierwszy rzut oka przypominające jedwab. Mogą być gładkie i deseniowe. Barwy żywe, efektowne, upstrzone czasem drobnym, wymyślnym zygzackiem. Śliczna, powiewna, barwna markizeta w najprzeróżniejsze kwiaty, pasy, lub kraty, które dotąd jeszcze mają swe zwolenniczki. Organdyny wymarzone na toalety strojniejsze, na zabawy ogrodowe i na tańce. Wśród nich znajdziemy cudowną gamę barw pastelowych, tak modnych w obecnym sezonie. Więc delikatny błękit, przypominający niebo wiosenne, perłowy odcień, lekki, jak mgła poranna, lub też różowość czerwcowego zachodu. Szkoda tylko, że wyjątkowo w tym roku chłodny i pochmurny czerwiec, nie sprzyjał wcale noszeniu tych wszystkich cudów.

Na sukienki letniskowe, plażowe, sportowe— pika. Taka najzwyczajniejsza, w grube prążki. Używamy jej również na przybranie sukienek z bawełnianego flamisolu. Moda tym razem jest bardzo wyrozumiała, pozwalą nam bowiem na najprzeróżniejsze kombinacje, łączenia, pomysły i t. p. A więc np. wełniany żakiet od kostjumu możemy nosić do sportowej spódniczki w paski, byle kolory ze sobą harmonizowały. Do tej samej sukienki w paski wolno nam włożyć również kurteczkę ze zwykłego, szarego płótna. A taka kurteczka wygląda niezgorzej w połączeniu z ciemną, wełnianą spódniczką od kostjumu. No, a do sukienki w paski może być jeszcze krótkie bolerko w kolorze pasków, albo poprostu biała, pikowa kamizelka, która się da zastosować i do ciemnego, wełnianego kostjumu. Możemy tak fantazjować bez końca. Czyż nie praktyczna i wygodna moda?

Bluzki - sweterki z cieńszej lub grubszej wełny cieszą się nadal powodzeniem. Są ładne, delikatne w robocie, przeważnie ażurowe z długiemi rękawami. Bluzeczki te będą nieocenione na wsi: piorą się znakomicie, wyglądają ładnie i w miarę grzeją, co stanowi kwestję niewątpliwie ważną w naszym kapryśnym klimacie. Nie widać zato owych zapowiadanych bluzek z szarych lnianych nici, może dlatego, że długotrwałe chłody wykluczały wogóle możliwości ubierania się bardziej przewiewnie. A szkoda... Byłyby z pewnością bardzo ładne, bardzo „twarzowe", mocne i łatwe do prania.

W dziedzinie obuwia króluje niepodzielnie wycinanka. Wybór tu mamy ogromny, widzimy nawet połączenie wycinanki z plecionką, co jest rzeczywiście szczytem wygody, a przy odpowiednim doborze barw, wygląda nieraz bardzo efektownie. Pantofelki te nie są zbyt drogie i są chętnie noszone tak w mieście, jak i na letnisku.

Pozostaje mi jeszcze wspomnieć o kapeluszach, któremi interesują się Panie, pozostające na lato w mieście. Fasony duże o szerokich rondach mają być podobno najodpowiedniejsze do lekkich, kolorowych sukienek. Ale czy lato obecne będzie sprzyjało tym wszystkim ślicznym, twarzowym ubiorom? Wiosna bowiem sprawiła nam taki zawód, że zaczynamy z niedowierzaniem patrzeć w przyszłość i zastanawiać się nad tem, czy zamiast lekkiej, przewiewnej toalety nie sprawić sobie ciepłego, grubego swetra?

STARY DZIENNIK

Taki wieczór, jak przed wielu laty:
Od godziny się rozstałam z biurem,
W wazoniku stoją świeże kwiaty,
Płonie lampa z jasnym abażurem.
Były chwile... co tam! już nie warto...
W mym pokoju widno jest i ciepło,
Leży dziennik z odwróconą kartą.
Tyle pytań w nim bez odpowiedzi,
Tyle skargi wsiąkło w głuchą ciszę;
Dziś wieczorem nikt mnie nie odwiedzi,
W mym dzienniku dawno już nie piszę.
Nikt nie woła na mnie dziś z oddali,
Sny najdroższe dawno leżą w trumnie...
Tak mi dobrze, że się lampa pali,
Że tak widno jest wieczorem u mnie.
Chcę w beztroski się pogrążyć kole,
Dla snów nowych duszę mam otwartą...
— — — — — — — — —
Coś zawadza... leży coś na stole:
Stary dziennik z odwróconą kartą.

N. Okuszko-Effenbergerowa

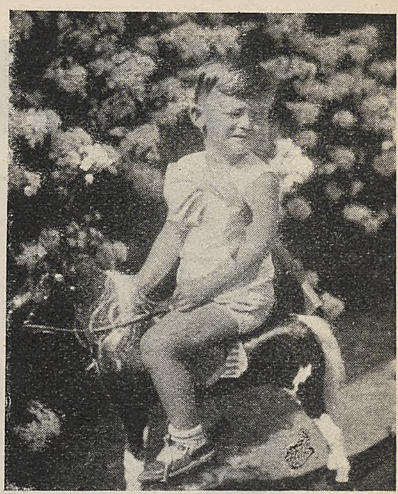
MAŁE ECHA



My jesteśmy przyjaciele,
Jakich w życiu jest niewiele.



Rano wcześnie jem śniadanko,
Aby pójść na polowanko.



Jadę groźny, jadę gniewny,
Zabić smoka do królewny.



Dzisiaj od samego rana,
Przyjmowałam tu bociana.



SEN

Już kurki śpią i Burek śpi,
Mrok się wałęsa szary,
A tu coś rusza się i drży,
W pokoju jakieś czary...
To księżyc, łobuz, jasny wzrok
Wkoło łóżeczka snuje
I hen wygania cień i mrok
I pieści i całuje...
Aż nagle słychać jakiś gwar
I śmiechy, złorzeczenia —
To w noc czarowną, nocy czar,
Obudził świat z uśpienia:
Wychodzi z kąta bury miś,
Za włosy ciągnąc lalę
I mówi: „Kocham ciebie dziś",
A ona: „Zawsze, albo wcale",
I na to słychać misia śmiech,
Co dźwięczy, jak przestroga:
„Całować przecież żaden grzech,
Laleczko, moja droga"!
Lecz Lala w wielką wpada złość
I rozgniewana srodze:
„Mam tego dość, mam tego dość!!!"
I bęc... miś na podłodze.

— — — — — — — —

A księżyc — łobuz, jasny wzrok
Koło łóżeczka snuje,
I hen wygania cień i mrok,
I pieści i całuje.

H. A. L.



Bo sarenka jest za miła,
Żebym jej nie nakarmiła...

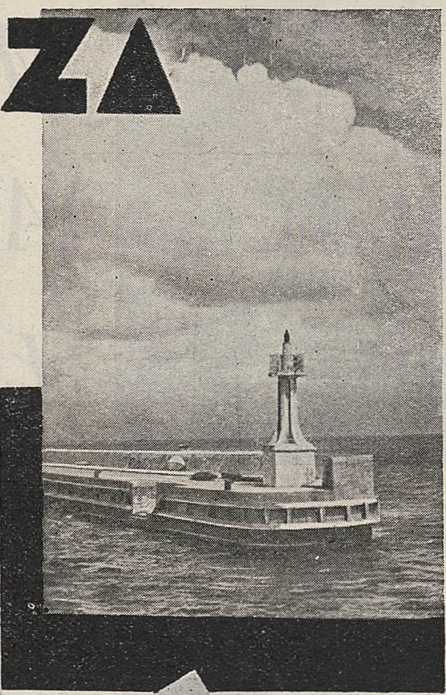


Dajcie mi dziś spokój święty,
Bom ogromnie jest zajęty.

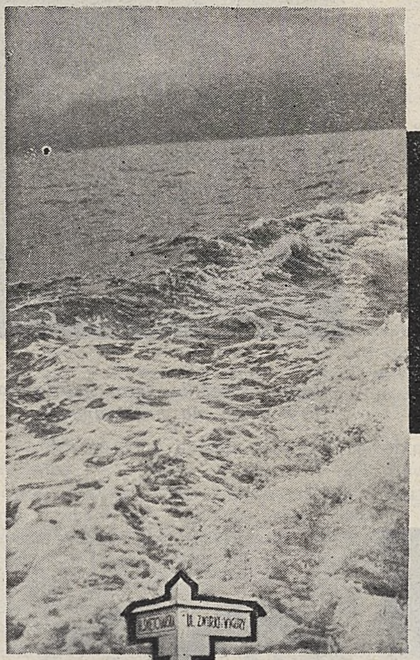


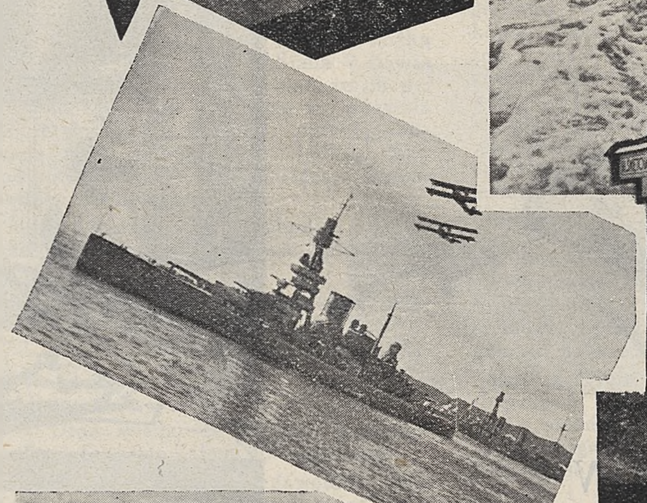
Jam ciekawy jest szalenie,
Co to znaczy mieć zmartwienie.

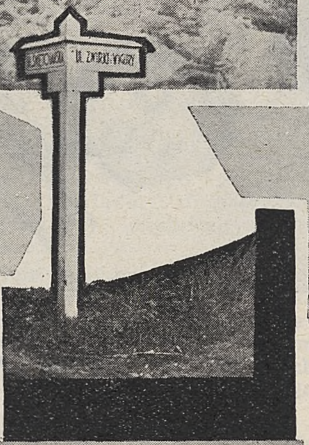
ŚWIĘTO MORZA



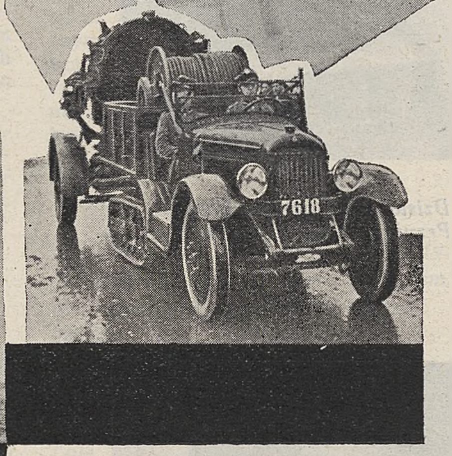




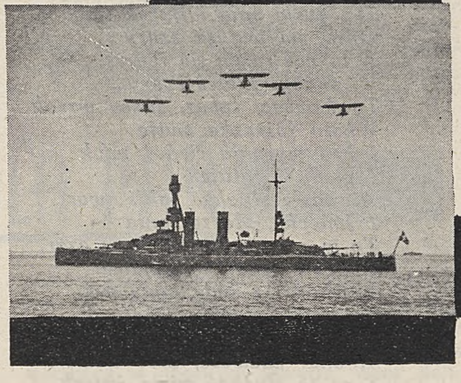








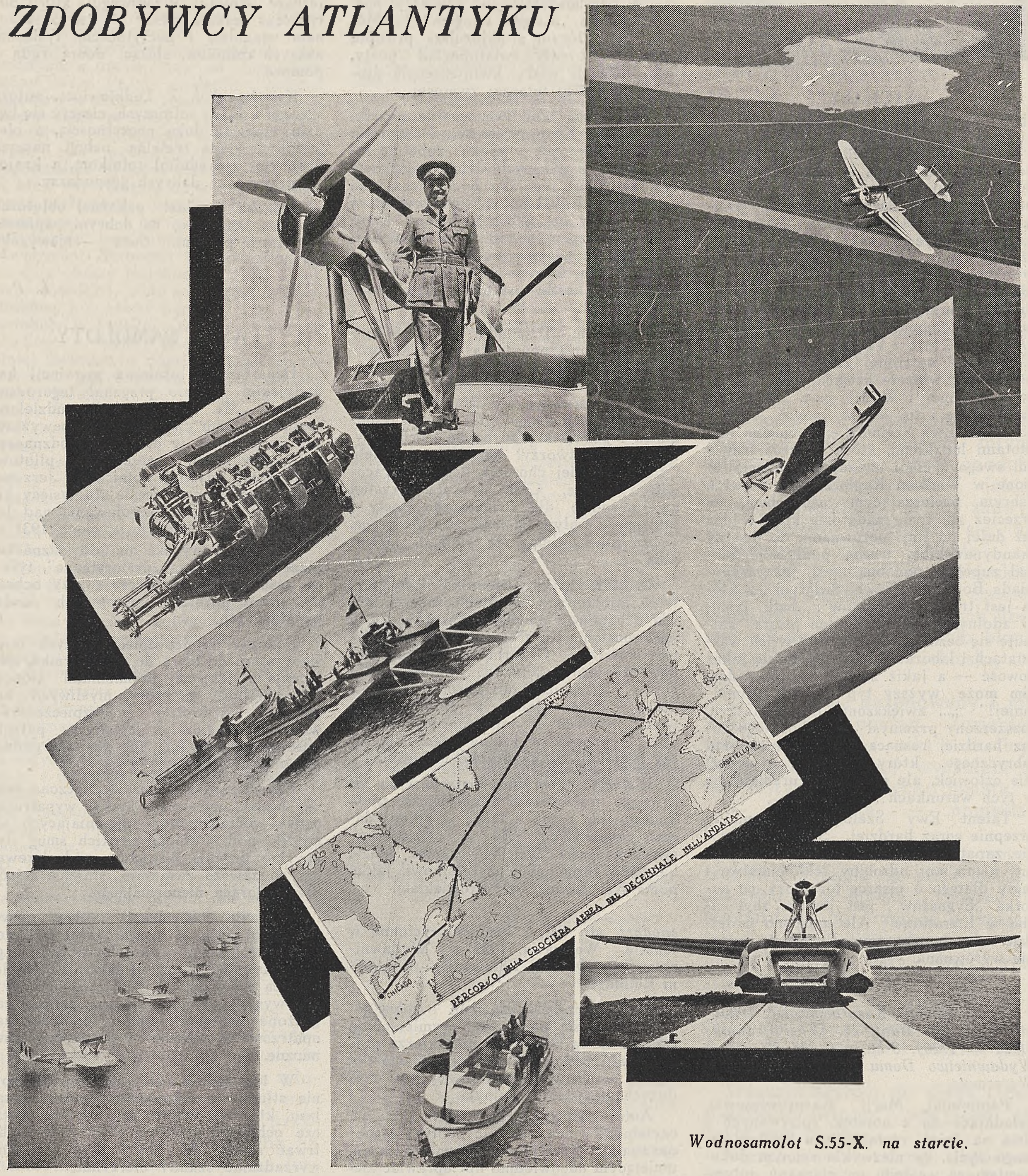




Pochód L. O. P. P. ze sztandarem. Reflektory na samochodach. Szwedcy goście w Gdyni. Polski nurek nad molo.

TEGOROCZNE „ŚWIĘTO MORZA" BYŁO NIETYLKO IMPONUJĄCĄ MANIFESTACJĄ NAJSZERSZYCH SFER SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO DLA SAMEJ UROCZYSTOŚCI — BYŁO CZEMŚ BARDZIEJ DONIOSŁEM I GŁĘBOKIEM — OTO UJAWNIŁO RZECZ OGROMNEJ WAGI DLA ROZWOJU NOWEJ POLSKI, A MIANOWICIE „NAROŚNIĘCIE" W PSYCHICE SPOŁECZEŃSTWA NOWEJ WARTOŚCI — PROBLEMU MORZA — TAK ZANIEDBANEGO PRZEZ DAWNĄ POLSKĘ.

ZDOBYWCY ATLANTYKU



Wodnosamolot S.55-X. na starcie.

Gen. Italo Balbo na tle silników „Asso 750".
Silnik — dusza wodnosamolotu. Moment wodowania S.55-X. w locie.
Trasa lotu włoskiej armady.

ESKADRA HYDROPLANÓW WŁOSKICH W SKŁADZIE 24 APARATÓW, POD KIEROWNICTWEM WŁOSKIEGO MINISTRA LOTNICTWA GEN. BALBO PRZELECIAŁA ATLANTYK NA TRASIE OBERTELLO — REJKJAWIK — CHICAGO. W ZWIĄZKU Z TYM WYCZYNEM, KTÓRY WYWOŁAŁ NIETYLKO PODZIW CAŁEGO ŚWIATA DLA BOHATERSKICH LOTNIKÓW, LECZ I ŻYWE PORUSZENIE W RZĄDACH MNIEJSZYCH I WIĘKSZYCH MOCARSTW, GEN. BALBO MA BYĆ MIANOWANY MARSZAŁKIEM LOTNICTWA WŁOCH.

WŚRÓD KSIĄŻEK

„SYGNAŁY"

Ewy Szelburg - Zarembiny.

Twórczość Ewy Szelburg - Zarembiny ma przedewszystkiem za przedmiot ukochanie człowieka, w czem przypomina może twórczość najwybitniejszych pisarzy skandynawskich. Ma w sobie, tym pisarzom pokrewny smutek, który jednakże nie działa deprymująco, smutek, który ukazuje życie takiem, jakie jest, ale równocześnie budzi chęć, by je zmienić, aby ów smutek stał się weselem. Ma w sobie owo głębokie ujmowanie zagadnień życia, które bije z każdego utworu autorki, a może najsilniej zaakcentowało się w wydanej właśnie książce (skład główny: Gebethner i Wolff), p. t. „Sygnały". Pochyla się i tu, jak w innych swoich utworach, Ewa Szelburg - Zarembina nad istotami ludzkiemi, które w męce trawią dni swego życia i ukazując nam ucieleśnione w Wielkim Kuglarzu zło, mówi z dobrym, pocieszającym uśmiechem, że przecież złu temu nadejdzie kres. I idąc już dalej po linji porównania do pisarzy skandynawskich, trzeba podkreślić niemal zupełnie podobną myśl, jaką wypowiada Bojer: w „Nowej Świątyni", a która jest treścią „Sygnałów": „Setki tysięcy zdolnych głów mówi ten pisarz" zajmuje się bezustannie tem, aby w ich warsztatach i laboratorjach wylęgła się jakaś nowość — a jakiż z tego rezultat... Jest nim może wyższy typ ludzki? Bynajmniej!" „... zwiększona ilość maszyn, rozszerzony przemysł — a obok tego coraz bardziej rosnąca ilość proletarjatu fabrycznego, który... popada w nędzę. Nie człowiek, ale niewolnicy urabiają się w tych warunkach".

Talent Ewy Szelburg - Zarembiny krzepnie coraz bardziej. Skupiony w sobie, zapatrzony w zadania, jakie ma spełnić, niema ani odrobiny reklamiarstwa i może dlatego o pisarce tej miary, co autorka „Sygnałów", jest jeszcze zbyt cicho w literaturze. Ale napewno nadejdzie czas, że niesprawiedliwość ta zostanie wyrównana.

Stella Olgierd.

Marja Janowa Kasprowiczowa, Dziennik. Cz. III: Bunt, cz. IV: Pojednanie (1924 — 1926), 8-ka, str. 304. Zł. 12.—. Wydawnictwo Domu Książki Polskiej w Warszawie.

Pamiętniki Marji Kasprowiczowej, składające się z notatek, spisywanych z dnia na dzień, równolegle z biegiem samego życia, są niezwykle cennym dokumentem ze względu na nieznany, intymny materjał biograficzny, dotyczący znakomitego poety naszego, Jana Kasprowicza.

Już po wydaniu pierwszego tomu „Dziennika", obejmującego okres od 1910 do 1922 r., — książka stała się głośną, była omawiana przez wielu krytyków w licznych artykułach, pozostała dotychczas emocjonującym tematem na licznych zebraniach towarzyskich, w inteligenckich środowiskach.

Wydany obecnie tom drugi, obejmujący ostatnie cztery lata życia poety, zawiera o wiele ciekawszy okres przeżyć wewnętrznych autorki, oraz końcowy okres życia i twórczości znakomitego poety. W tym bowiem czasie powstały: najcudowniejsza „Księga ubogich" i „Mój świat", w którym z najczulszą prostotą zawarty jest cały światopogląd poety, jego wyznanie wiary, kwintensencja długiej i uciążliwej tułaczki życiowej.

Mądre są, wnikliwe, czujne kartki „Dziennika" Kasprowiczowej. Przemawia z nich Kasprowicz w sposób zupełnie inny, aniżeli z własnych dzieł, przemawia dosłownie, już nie jako poeta, lecz jako człowiek. Utrwalono w nich żywiołową miłość poety do ukochanej żony, która w bezgranicznem oddaniu jest ową istotną siłą, ożywiającą twórczość, darzącą natchnieniem, którego wyrazem stają się przepiękne kartki ostatnich jego utworów.

Drugi tom „Dziennika" jest jednocześnie historją powstania domu Kasprowiczów na Harendzie, tej Harendzie, o której nikt nie wiedział, póki nie osiadł w niej Kasprowicz, a która odtąd przeszła do historji drogich dla narodu wspomnień i pamiątek. Tu bowiem osiadłszy, Kasprowicz stworzył ostatnie swe dzieła i tu po ciężkiej chorobie dokonał pracowitego żywota. Czem była ta przystań na Harendzie dla strudzonego poety i jaki miała wpływ na jego ostatnie prace, o tem dowiadujemy się wiele z „Dziennika".

Ostatnie kartki „Dziennika" żony poety w minorowych akordach śmierci mówią o ostatnich chwilach Kasprowicza, o jego rozstaniu się z otaczającym go światem i ludźmi. Otwarła się furtka, wiodąca do jego gazdostwa i wyprowadziła go na krzepkich ramionach sąsiadów przez ulubioną kładkę na potoku, przez wrota, wiodące w zaczarowaną krainę Tatr, Zakopane, w krainę wieczystej ciszy i spokoju — gazdostwo niebieskie.

Historja tych dni, historja tych lat drugiego małżeństwa Kasprowicza, ujęta kunsztownie przez autorkę w opisy zdarzeń codziennych, żyje w „Dzienniku" swem własnem życiem i mówić będzie każdemu rozumnemu czytelnikowi, jakim poeta Kasprowicz był człowiekiem.

spodarz, str. 432, z licznemi rycinami w tekście. Warszawa, 1932 r. Wydawnictwo Tow. Oświaty Rolniczej — Księgarni Rolniczej.

Ludkiewicz Zdzisław, prof. – Dobry go-

Ukazała się pod wyżej wymienionym tytułem nowa książka o charakterze praktycznego poradnika, przeznaczonego dla użytku rolników, gospodarujących na niedużych warsztatach rolnych.

Autor postawił sobie za cel pouczyć czytelnika o tem, jak być dobrym gospodarzem, t. j. nietylko dobrym rolnikiem, umiejącym odpowiednio np. uprawiać ziemię, czy też żywić inwentarz, ale również i dobrze zorganizować swoje gospodarstwo, umiejętnie go prowadzić w dzisiejszych trudnych czasach. Dlatego też pierwsza część książki poświęcona jest przedewszystkiem organizacyjnym sprawom, przyczem szereg ustępów poświęconych jest takim właśnie rzeczom, jak: podatkom, świadczeniom społecznym, sprawom hipotecznym, spadkowym i innym, które znać musi dokładnie dzisiejszy dobry gospodarz. Następne części książki poświęcono technice gospodarstwa polowego, hodowlanego, ogrodniczego i innym działom gospodarstwa wiejskiego.

Omawiana książka ma niejako za zadanie zastąpić napisanego przed wojną jeszcze „Rolnika Wzorowego", który dotychczas jeszcze cieszy się tak zasłużonem uznaniem i poczytnością, tysiącom naszych rolników, służąc dobrą radą i pomocą.

Książka prof. Z. Ludkiewicza, autora szeregu książek rolniczych, cieszyć się będzie zapewne dużą poczytnością, a niewątpliwie odda rzetelne usługi naszym drobnym (i średnim) rolnikom, a krajowi przysporzy dobrych gospodarzy.

Książka ta jest pokaźnej objętości, wydana starannie, na dobrym papierze, czytelnem pismem. Cena — niewysoka (zł. 9).

L. P.

LAS I SAMOLOTY

Departament lotnictwa prowincji kanadyjskiej Ontario przyznał tegoroczną nagrodę „Mc. Kee Trophy", udzielaną corocznie temu z lotników powyższej prowincji, który w ciągu roku odznaczył się najwybitniej, naczelnemu pilotowi wschodniej dywizji lotniczej, Jerzemu Phillipsowi za przelecenie stu tysięcy kilometrów w czasie patrolowania nad lasami prowincji Ontario w ciągu 1931 r.

Nagroda powyższa nie jest odznaczeniem za efektowną „performance", tylko za pracę pełną poświęcenia przy ochronie przed pożarami ogromnych lasów państwowych.

Podczas najniebezpieczniejszych miesięcy roku: od maja do października, gdy łącznie z palącemi promieniami słońca, lekkomyślność turystów, myśliwych lub traperów wywołuje niebezpieczeństwo wzniecenia ognia w puszczach, patrole lotnicze pracują po 10 do 12 godzin dziennie.

Każdy z pilotów ma wyznaczoną sekcję lasów, nad którą krąży, wypatrując oznak wybuchu ognia, ujawniających się zwykle pod postacią cienkich smug dymu lub drgania powietrza nad drzewami, co zawsze zwiastuje istnienie wśród drzew gorąca nienormalnego.

W razie stwierdzenia takiego zjawiska, pilot daje ze swego lekkiego samolotu patrolowego radjo-telegraficzny sygnał alarmowy, który usłyszawszy, stacja, służąca lotnikom za podstawę operacyjną, wysyła natychmiast na miejsce zagrożone wielkie samoloty pożarne, zaopatrzone w gaśnice i materjały chemiczne.

W ten sposób udaje się niejednokrotnie stłumić w ciągu kilku godzin pożar lasu, który przedtem, gdy nie było jeszcze ochrony lotniczej lasów, mógłby trwać szereg dni lub nawet tygodni, wyrządzając szkody olbrzymie.

Oczywiście praca takiego pilota, patrolującego nad lasami, jest cięższa, niż jakiegokolwiek innego lotnika, a ponadto, pracując samodzielnie, musi jeszcze ten pilot, ukończywszy służbę dzienną, doprowadzić swój samolot do zupełnego porządku, aby w każdej chwili był gotów do odlotu i dopiero wówczas może się udać na spoczynek.

Dawniej całe mile kwadratowe odwiecznych puszcz kanadyjskich, a często i całe osady wśród nich istniejące, padały ofiarą pożarów. Dzisiaj lotnictwo zwalcza te klęski coraz skuteczniej.

PRZEGLĄD SZTUKI

Instytut propagandy sztuki — Grupa plastyków nowoczesnych.

Grupa plastyków nowoczesnych wywodzi się w prostej linji od formiołów, którzy przed 15 laty wystąpili z nowemi zasadami w sztuce. Hasłem ich jest wyeliminowanie ze sztuki wartości starych i zużytych i zastąpienie nowemi i twórczemi (czy zawsze?), zrośniętemi ze współcześnie żyjącym człowiekiem. Wielu idzie zbyt daleko, dając jako kompozycję zestawienia różnokształtnych płaszczyzn w 2 — 3 barwach, lub w tej samej barwie, lecz o różnem żłobkowaniu powierzchni. Stażewski i Strzemiński inne dają obrazy podobne do planów, lub map, (Lewicki), albo kompozycje przestrzenne, t. j. rzeczy bardzo dekoracyjne, podobne z kształtu do nowoczesnych kiosków i mebli (Kobro Katarzyna) Mniej abstrakcyjni doszli do lepszych rezultatów, jak Chwistek, malarz syntezy ruchu, groteskowy Czyżewski, lub egzotyczny Kryński.

Konstanty Mackiewicz (wystawa zbiorowa).

Obrazy Mackiewicza, zwłaszcza długi szereg martwych natur, to jakby ze szkół weneckich ułożone barwne mozaiki, dawniejsze tylko są komponowane zupełnie płasko — dekoracyjnie.

Grupa „Kolor".

Reprezentują tę grupę dwie malarki Mery Siłaner i Gizela Hufnaglówna. Barwa jest ich celem. Podczas gdy pierwsza tonie w jasnym kolorycie, druga rzuca śmiałemi smugami pendzla, jaskrawe plamy.

„Kazimierz dolny w malarstwie".

To wystawa o cechach retrospektywno-dydaktycznych. Jest tu wszystko co powiedziano w sztuce o Kazimierzu od XVIII-go w. do dnia dzisiejszego. Są stare sztychy i litografje, drzeworyty, rysunki i akwarele. Nazwiska mówią za siebie. Jest obok mniej znanych Piwarski, Andriolli, Gerson, Aleksander Gierymski i Masłowski, są z dzisiejszych Pankiewicz, Wyczółkowski, Gł. Czajkowski, Skoczylas, Pruszkowski, Bartłomiejczyk i wielu innych. A wszystkich owiewa jedno tchnienie miłości dla tego cudnego zabytku starej naszej kultury.

Doroczna wystawa prac uczni Polskiej Szkoły Sztuki Zdobniczej w roku jubileuszowym 1863 — 1933.

Dorobek roczny szkoły rozwijającej się pod znamienitem kierownictwem dyr. Szczepkowskiego — wspaniały. Prace uczni we wszystkich działach na wysokim poziomie, czy to w dziale malarstwa akwarelowego i pejzażu prof. Kowalewskiego, lub rysunku figuralnego prof. Butrymowicza, czy malarstwa ściennego (wprost na murze) prof. Schulza, jak również w działach rysunków technicznych (prof. Suzin), perspektywy (prof. Roliński), kursu wnętrza (prof. Kurzatkowski), grafiki (afisze - okładki) (prof. Radwan), ceramiki (naczynia) (prof. Czarkowski), kilimów (prof. Jankowska) i cudownie postawionej rzeźby (dyr. Szczepkowski). Szczęśliwi, którzy mogą się dostać w szranki uczniów tej szkoły!

Wystawa turystyczno-krajoznawcza w Instytucie Propagandy Sztuki.

Przeszedłszy sale Ipsu, poznasz Polskę całą, jej nieprzebrane skarby piękna przyrody, pomniki przeszłości i dzieła monumentalne dnia dzisiejszego. Bogaty zbiór zdjęć fotograficznych ze zbiorów państwowych istotnie daje przegląd wszystkich prawie zakątków polskich. Zdjęcia podzielone województwami widzimy, co gdzie jest, więc kopalnie i ciężki przemysł Śląska, magnackie rezydencje, stare świątynie i ruiny (Kruszwica) poznańskiego, charakterystyczne budowle gotyckie Pomorza, obok jezior, lasów, puszcz i rezerwatów przyrody województw wschodnich i karpackich. Piękne są ziemie polskie i bogaty mają wybór rzeczy godnych widzenia dla chcących i mogących je zwiedzać.

Szkoda tylko, że wystawy tej nie urządzono o miesiąc wcześniej, mogłaby być wskazówką dla niejednego i niejednej, w wyborze letniska, czy też terenu do wycieczek.

Obok zdjęć fotograficznych znajduje się też spora ilość obrazów wybitnych malarzy współczesnych, złączonych tematami z poszczególnemi województwami.

Wanda Pogonowska

WIELCE ROMANTYCZNA HISTORJA

Czy może dać coś większą radość kandydatowi na „dorosłego" mężczyznę, skubiącemu zawzięcie z dumą pierwsze pojedyncze włosy pod nosem, a który żyłkę myśliwską na świat ze sobą przyniósł, jak włóczęgi ze strzelbą na ramieniu, po wyrwaniu się na ferje z dusznych murów szkolnych?

Ileż to radości wnosiły w monotonne życie szkolne takiego pomazańca Ś-go Huberta, za którego i ja się już wówczas uważałem, każde „wolne", połączone z wyjazdem na wieś do rodzicielskiego domu!

Ktoś mógłby twierdzić, że było to niedawno, ja twierdzę odwrotnie — rzecz względna, nie o to zresztą chodzi.

Zawsze tak się jakoś dobrze składało, że każde ferje były równoznaczne z jakimś rodzajem polowania, jak np. wakacje — kaczki, Boże Narodzenie — polowania zimowe, Wielkanoc — toki.

Toki! Nasuwa się wspomnienie, które trudno przemilczeć.

Siedział raz sobie „człowiek" pewnej wiosenki na lekcji geometrji i zamiast słuchać dowodzeń czy twierdzeń starego profesora poczciwca, pobiegł myślą daleko poza mury miasta, na oparzeliska leśne oblane czerwienią wschodzącego słońca. Wyobraźnia przyniosła na swych skrzydłach obraz we snach wiosennych wymarzony.

Czarny, skrzydlaty rycerzyk boru gotuje się do walki. Słyszę coraz wyraźniej jego przeciągłe „czaucziikanie", gdy ostro rzucone me nazwisko z katedry, przecięło brutalnie niteczkę słodkich marzeń.

Na zadane pytanie nie zdążyłem jeszcze zebrać myśli, gdy padły słowa profesora:

— Siadaj! Śpij dalej! —

Incydent ten, nie miał poważniejszych następstw, głupio czułem się jednak wobec profesora.

***

Włócząc się któregoś letniego poranku w czasie wakacji po oczeretach Nidy za ptactwem, stanąłem pewnej chwili jak wryty, uderzony niecodziennem zjawiskiem.

W jednym z dziko zarośniętych zakrętów Nidy, opodal młyna zwanego piekłem, (prawdopodobnie od piekielnego hałasu, jakim czasem napełniał cichą zazwyczaj okolicę), natknąłem się na stojącą nad wodą — „Nimfę".

„Nimfa" miała duże, niebieskie, zdziwione mojem nagłem zjawieniem się oczy, w niesfornych kosmykach spadające na czoło blond włosy, bose nogi i niebieską sukienkę.

Cofnąłem się zażenowany i nie wiedziałem co począć. Zorjentowałem się, że to nikt z okolicy. Poznałem, a raczej wyczułem w niej instynktem dziecko miasta.

— „Sztubaczka" — pomyślałem.

Dziwne to, że w tem otoczeniu zrobiła tak nagle na mnie wrażenie. Podobała mi się. Dziwne to tembardziej, bo przecież o tysiące takich „nimf" ocierałem się na bruku miejskim cały Boży rok szkolny.

Zapragnąłem ją poznać, lecz stała na przeszkodzie moja wrodzona w obliczu płci pięknej nieśmiałość.

Wracam szybko do domu i postanawiam włożyć wszystko na barki mej siostry.

Niezbadane są drogi, któremi kroczy czasem kobieca dyplomacja. Nie zawiodłem się na niej, bo już w kilka godzin później wiedziałem, że objekt moich zainteresowań nosi imię Janki, jest uczenicą lubelskiego gimnazjum, przyjechała na wieś, narzeka na brak towarzystwa i wiele, wiele innych rzeczy.

Z siostrą odrazu się zaprzyjaźniły, co sprawiało mi ogromną radość, ze względu na możliwość zrealizowania mych „ukrytych

pragnień", o których jak wówczas, tak i dzisiaj nie potrafiłbym nic konkretnego powiedzieć.

Faktem jest tylko to, że byłem „po uszy" i „na śmierć" zakochany.

Pierwszy dzień cały, od rana do wieczora, spędziliśmy we trójkę, drugiego siostra moja przyjść nie mogła, więc byliśmy z Janką tylko sami.

Czas rozkosznie płynął na niczem, a zrzadka wymieniane między nami słowa, były „zapachem kwiatów i słońcem". Ona mnie paziem, ja ją królową nazwałem.

Trzeciego i czwartego dnia Janka, z nieznanych mi powodów, nad rzekę nie przyszła. Czarna mi rozpacz usiadła na duszy, a z niej zrodził się kaligraficzny, na całym arkuszu papieru taki „poemat":

O pani! Przebaczyć racz
[paziowi swemu,
On ośmielił się pisać do Ciebie,
Ale on tęskni za swoją Królową
Wierz mu! Ach wierz mu! On
[tęskni!
Wczoraj gdy słonko ziemi blaski
słać przestało,
Paź błądził tam... by być bliżej
[Królowej,
On czekał, miał nadzieję i wiarę
[w nadzieję,
Lecz nadzieja jest panią
[zwodniczą.
O Pani! Paź wielkie ma jedno
[pragnienie —
Zobaczyć się dzisiaj z Tobą!
Spędzić chwil kilka cudnych jak
[przed dwoma dniami
„Sam na sam" — wyraz pospolity,
[paziowi mało znany.
Królowa raczy pomóc w tem
[paziowi swemu,
(Przebacz! Na pazia życzenie zbyt
[śmiałe!)
A jeśli Królowa wyszydzi z próśb
[pazia,
To... Nie! Paź ma niezachwianą
[wiarę!

„Poemat" został wpakowany do koperty i za kilka obiecanych przygodnemu „posłańcowi" papierosów, „w głębokiej tajemnicy i tylko jej do ręki", doręczony.

To poskutkowało. Od tego czasu spotykaliśmy się codziennie, spędzając czas na polowaniu, łódkowaniu i najniewiniejszych rozmowach.

Największe zainteresowanie ku memu zadowoleniu, budziła w niej broń myśliwska i polowania. Chcąc jej zaimponować wiadomościami z tej dziedziny, połykałem całe masy książek i podręczników. Nauczyłem ją nawet strzelać. Jednem słowem zostałem na dobre nauczycielem.

Kłopot miałem tylko i to poważny z przekonaniem jej, że wyrazy któremi często operowałem w swych „wykładach" łowieckich, jak klempa, badylarz, siuta i t. p. nie są niczem nieprzyzwoitem, lecz tylko zwykłemi myśliwskiemi terminami.

Nie trafiało to jej do przekonania. Ostatni termin „siuta", uważała za nieprzyzwoity do tego stopnia, że nie miała odwagi nawet go powtórzyć. Zabroniła mi wogóle wszelkich terminów łowieckich używać, twierdząc, że „mój papcio też myśliwy, ale nigdy takich głupstw nie opowiada".

Cóż zrobić? Byłem teraz w rozmowach na ten temat ostrożnym i „przyzwoitym", by nie urazić jakim „dwuznacznikiem" pani swego serca, domyślającej się dwuznaczników tam, gdzie ich wcale nie było. Zresztą, mój Boże! Jak bardzo daleki byłem wówczas od nich.

No, ale wszystko ma swój koniec, a wakacje przedewszystkiem.

Rozjeżdżaliśmy się w różne strony. Wyjeżdżała wcześniej odemnie.

O uczuciu swoim nigdy z nią nie mówiłem. Teraz, w ostatniej chwili chciałem jej wszystko powiedzieć, lecz milczałem, jak zaklęty, nie mogąc z tańczących pod czaszką strzępów myśli zbudować żadnego zdania.

Byłem wściekły na siebie.

Obiecała, wchodząc już do wagonu, przyjechać na święta Bożego Narodzenia, „ze swoją własną strzelbą, na którą musi papę naciągnąć".

Serdeczny uścisk dłoni. Uśmiech z okna wagonu. Stukot i migotanie kół, i czarny wąż pociągu znikł na zakręcie.

Pozostałem przyczepiony myślą do nadziei ujrzenia jej, w myśl obietnicy, za kilka miesięcy.

**
*

Grudzień, mróz, śnieg po kolana. Ostatnie pędzenie na ostatniem polowaniu przed powrotem do szkoły.

Janka jest! Jest nawet „ze swoją własną strzelbą".

Ma już na sumieniu zająca i kilka pudeł, które ją cokolwiek wyprowadziły z równowagi. Ale to nic, bo stoi teraz na sąsiednim stanowisku, na które powoli wychodzi stadko sarnie i staje. Trzy sztuki, kozioł i dwie kozy.

Obserwuję z napięciem zachowanie się mego „ideału".

Widzę, że spokojnie podnosi strzelbę do oka, mierzy kilka sekund, sekundy przechodzą w minuty i — stadko pierzcha w popłochu bez strzału.

Schodzę ze stanowiska, zbliżam się do niej i widzę, że jest strasznie zdenerwowana.

— Panno Janko! — mówię. — Co to było? Dlaczego pani nie strzelała? Był przecież rogacz i tak blisko?

— ?

— Rogów już teraz nie mają — dodaję.

— Ach! Prawda! Zapomniałam! Ale po czem pan poznał rogacza? Po czem je do licha teraz poznać można? — rzekła nie ukrywając histerycznej złości.

Zatkało mnie. Takiego pytania nie przewidziałem i nielada trzeba elokwencji, by jej taką rzecz wytłumaczyć.

Przestępując z nogi na nogę, z nabiegłemi krwią policzkami, wyjąkałem bez związku kilka razy i w różnych przypadkach słowo „pędzel", co miało ten skutek, że pani moich marzeń obrzuciwszy mnie wyniosłem spojrzeniem prawdziwej królowej i rzuciwszy jedno słowo „idjota", odeszła do innych myśliwych.

Całe zajście i ten epitet z jej ust usłyszany, uraziły mnie do tego stopnia, że więcej z nią nie zamieniłem ani słowa i rozstaliśmy się bez pożegnania.

Może zresztą mimowoli tylko tak się złożyło.

**
*

Los zrządził, że nie zetknęliśmy się już nigdy więcej.

Jest dzisiaj jedną z gwiazd srebrnego ekranu i — w sztuce łowieckiej przeszła swego nauczyciela.

Zdarzyło mi się widzieć ją w filmie nakręconym z natury, gdzieś w dalekim Transwaalu i nad jeziorem Tanganika, jak się zachowywała wobec czworonożnych władców dżungli i wód afrykańskich.

Co do tego, że potrafi odróżnić dzisiaj „bezrogiego" kozła od kozy, nie mam żadnych wątpliwości.

Czas i podróże kształcą...

Adam Górecki

KĄCIK ROZRYWKOWY

pod kierownictwem Warsz. Klubu Szaradzistów.

TRZECI KONKURS KWARTALNY

(Ciąg dalszy).

Termin nadsyłania rozwiązań *trzytygodniowy*, licząc od daty otrzymania numeru.

5. SZARADA (5 pkt.)

Odpowiedź na szardę p. W. Lubnauera, z n-ru czerwcowego „E. L."

Raz[1]) *Dwa-czwarty* jeszcze młody
leśnik praktyk wielce śmiały,
szedł do lasu na jagody
i miast jagód znalazł... *cały!*
Taki zgrabny, taki mały,
srebrem tkany i różowy —
cacko — atłasowy cały —
i z klamerką — prawie nowy...
Skąd się wziął tu? Czyżby drjady
zgubiły go pędząc w pląsy?...
Tak rozmyślał *Drugi-czwarty,*
podkręcając czarne wąsy.
W tem nadchodzi *raz*[1]) *Trzy-czwarty*
(szkolnym jego był kolegą),
parsknął śmiechem, stroił żarty
i nareszcie rzekł z powagą:
„Czyj ten *cały*, wiem coś o tem:
zgubiła go płocha Hala, —
lecz, dla Ciebie zły to omen,
żeś go tutaj w lesie znalazł...
Jam żonaty, znam już życie
i wiem co *dwa cały* znczy.
Każdy z nas go znosi skrycie,
jednak nie trwa zbyt w rozpaczy.
Ma podobno być *dwa cztery*[2])
na nasz upór niezawodny...
Jestem, jak wiesz, z tobą szczery,
więc bądź w życiu jego godnym.

[1]) pierwszy, [2]) czwarty.

Marg. Teister, czł. Kl. Sz.

6. PRZESTAWIANKA (3 pkt.)

1	2	3	4	5	6	7	8	9
ç	a	a	a	a	c	e	a	a
ę	a	a	a	a	e	f	a	c
e	a	c	e	a	e	i	a	c
i	c	c	f	i	e	i	a	c
i	d	f	f	k	i	n	c	e
j	e	h	i	l	i	o	f	e
k	e	p	j	o	i	p	g	f
l	i	r	n	o	l	r	j	j
m	k	s	n	p	n	r	n	ł
n	l	t	s	p	o	ś	o	o
o	p	t	y	r	p	t	p	p
s	r	u	z	s	r	t	t	s
ż	w	u	z	t	s	u	t	t

Litery umieszczone w każdym rzędzie pionowym proszę tak poprzestawiać, aby powstały dwa wyrazy siedmioliterowe, o wspólnej literze końcowej w środku. Wyrazy górne czyta się wprost, dolne zaś wspak. Końcowe litery wyrazów, stanowiące VII rząd poziomy, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

1. Kwiaty (odmiana narcyza w l. mn, — część przestrzeni.
2. Rzemieślnik, — gad.
3. Pasterz, — okrycie przy robocie.
4. Chróst (gałęzie obcięte) używane przy budowaniu grobli, — subtelność.
5. Zasłona od deszczu, — świątynia Jowisza w Rzymie.
6. Cierpienia (przykrości) w przenośni, — dzielnica Polski.
7. Zdrobniałe imię męskie, — błazen.
8. Broń turecka, — instrument muz.
9. Miasto pow. w Polsce, — dykteryjki.

M. Katelbachowa, czł. Kl. Sz.

8. ZAGADKI

(po 1 punkcie — razem 6).

Do kadłuba (a) — ogon, głowa, —
i zagadka już gotowa (b)!

1. *(a)* Okres czasu dosyć duży,
(b) miasto w Alpach, zdrowiu służy.
2. *(a)* To jest utwór poetyczny,
(b) to aparat do zdjęć śliczny.
3. *(a)* To surowiec dobrze znany,
(b) ten „niechlujem" też nazwany.
4. *(a)* To z modlitwy znasz kochanie,
(b) to zaś „płacz" lub „narzekanie".
5. *(a)* Ptak to piękny, egzotyczny,
(b) zwierz domowy, użyteczny.
6. *(a)* Ta do Wołgi w Rosji bieży,
(b) ten nad Bugiem w Polsce leży.

M. Waksmundzka, czł. Kl. Sz.

LISTA UCZESTNIKÓW IV KONK. KWARTALNEGO 1932 r.

(c. d.)

Podajemy ciąg dalszy rozpoczętej w lipcowym n-rze „E. L." listy uczestników IV Konkursu Kwart. 1932, oraz rezultat losowania nagród.

Lankauf Kazimierz, Olszówka 29; Łopatto Jerzy, Warszawa 43; „Maryśka z Pohulanki", 43; Miłowski Edmund, Poznań 43; inż. Modrzejewski Józef, Lublin 43; Mokrzycka Helena, Drohobycz 43; Pakosz W., Wola z. 18; Przedmojski, Skuły 13; Radkowski Władysław, Smardzewice 26; Rogalewicz T., (przepisane zadania bez rozwiązań?); Rogalski W., Warszawa 16; Drowa Sroczyńska Janina, Złoczew 9; Surma J., Kresy 40; Szewczykowa Bronisława, Janostrów 26; Szybiński J., Suwałki 43; Teister Margaritta, Susk 41; Tietz Zygmunt, Warszawa 43; Tomaszewska Irena, Błędno 27; Urban A., Warszawa 14; Waksmundzka Marja, Jasło 43; inż. Wieliczko Eugenjusz, Pińsk 43; Wiltowska Zofja, Wojciechów 42; Wysocka M., Warszawa 43; Zach Albert, Warszawa 18;

Zgodnie z warunkami Konkursu przypadły w drodze losowania nagrody książkowe następującym osobom:

kwartalne:

p. Teister Marg. Nadleśn. Susk,
p. Wysocka M., Warszawa;

miesięczne:

p. Radkowski Wł., Nadl. Smardzewice,
p. „Bożena", Warszawa;

pocieszenia:

p. „Maryśka z Pohulanki".

Nagrody zostaną w dniach najbliższych rozesłane pocztą.

SPROSTOWANIE.

Opuszczona ilość punktów za rozwiązanie zadania 4 (rebusa) umieszczonego w n-rze lipcowym E. L." wynosi: 4, co uzupełnić przy zadaniu prosimy.

SKRZYNKA POCZTOWA.

WPP. Katelb. M., Siedlce, Teist. M. Susk. Dziękujemy i prosimy o dalszą pamięć stałą.

WPP. Mokrz. H., Denas. K., Drohobyc. Opróżniona nasza teka na zadania dalsze czeka... Więc prosimy: w miłej pracy „pomoc dajcie nam rodacy!"

HALLO! SZARADZIŚCI!

Najmilszą rozrywkę po pracy, czy na wywczasach, da Wam niezawodnie „ROZRYWKA" (organ Warsz. Klubu Szard.), której nr. 8 (sierpniowy) opuścił już prasę. Prenumerata kwartalna *tylko 2 zł.* Adres: Klub Szaradzistów, Warszawa, Kopernika 42 m. 13. Konto PKO. nr. 2048.

Żądajcie numerów okazowych!

M. Sł.

7. KRZYŻÓWKA MAGICZNA (3 pkt.).

W podanej figurze należy wpisać poziomo i pionowo równobrzmiące wyrazy o następujących znaczeniach:

1) Skorupiak. 2) Napad. 3) Łańcuch górski w Azji środk. 4) Mary. 5) Policjant turecki. 6) Żona rzemieślnika. 7) Likier wiśniowy. 8) Sędzia turecki. 9) Miesiąc. 10) Przykre uczucie doświadczane z bezczynności wspak. 11) Angielskie imię męskie. 12) Elektrod dodatni. 13) Utwór poetycki.

K. Denasiewicz, czł. Kl. Sz.



Redaktor: LEONARD CHOCIŁOWSKI

Wydawca: ZWIĄZEK ZAWODOWY LEŚNIKÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

WARUNKI PRENUMERATY

„ECH LEŚNYCH”

	Zwyczajnej Zł. gr.	Ulgowej (dla Leśników) Zł. gr.
Kwartalnie	4.—	3.—
Półrocznie	7.50	5.50
Rocznie	14.—	10.50
Zagranicą kwartalnie	6 50	5.50

Cena numeru pojedyńczego 1 zł. 40 gr.

KONTO CZEKOWE

P. K. O. Nr. 5.755.

Adres: Warszawa, Żórawia Nr 13

Telefon: 9-44-41

Cena niniejszego numeru w Warszawie i na prowincji 1 zł. 40 gr.

Żądać we wszystkich kioskach miejskich i kolejowych T-wa „Ruch“.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 13, TELEFON 9-44-41

Z. — 509 Druk Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Ordynacka 3, tel.